

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Maciej Zenon Bordowicz
Handlarze jabłek



Noc była jesienna, pochmurna. Wyłaniający się zza nabrzmiątych obłoków księżyc odsłaniał martwą okolicę, nad którą przeszła niedawno deszczowa burza. Po wyboistej drodze sunęła ciężarówka. Nie była to właściwie droga, tylko przeorana koleinami struga błota, z której co kilkadziesiąt metrów wyłaniały się łby kamieni, strzaskane gałęzie, jakieś szczątki rozbitych pojazdów, skrzyń, a czasem światło księżyca wyławiało z tego krajobrazu przewróconą na bok armatnią lawetę lub zastygły w martwocie blok czołgu.

To był krajobraz, przez który przetoczył się niedawno oddech wojny.

Krajobraz, gdzie bitewne spustoszenie nie zdążyło jeszcze wsiąknąć w glebo, obrosnąć świeżą trawą, zaszyć się w zielsku. Jesień tego roku była ostatnią jesienią wojny. Front parł nieustannie na zachód, zostawiając za sobą ziemię, na której wszystko należało ustanawiać od początku, na której ze zdwojoną siłą. wybuchły nowe namiętności, i znowu ta ziemia miała swoje podziemie, tym razem godzące w nią samą. i znowu ludzie sny mieli krótkie, gwałtowne, a dni rozpalone jak żelazo.

Jedna ofiara pociągała za sobą drugą, jeden ogień wspomagał drugi. Zdawało się nieraz, że rozlana na niebie luna toczy się jak potok i gruchocze po drodze wszystko, co jeszcze z wojennej zawieruchy ocalało. Z

pierwszym zmierzchem odzywały się karabiny, pękały granaty, a rozrzucone na ziemi ciała były jak prze-cinki, które nie mogą zatrzymać rozpędzonego zdania. Zdania w krwawym i sięgającym po Ostatnie argu-menty dialogu.

Racja była jedna, ale żeby ją udowodnić, setki szły w ziemię, setki tych. co już powinni byli przestać ginąć. Przez niejedną wioskę i miasteczko przeciągały pogrzeby zbiorowe, w skleconych naprędce z prostych desek trumnach odchodzili na zawsze... Zostawali inni, ci, co salwą nad grobem czcili ich pa-mięć, ale i dla nich każdy dzień mógł wynająć stolarza...

Noc była jesienna, pochmurna. Światła ciężarówki wyłapywały z mroku rozlazłe, błotniste kałuże; wy-boje, utracone pnie przydrożnych drzew. Wiatr łomotał o szczelnie zasznurowaną plandekę okrywającą platformę samochodu. Krawczuk, młody chłopak o kędzierzawej czuprynie, przełączył biegi. Ciężarówka wolno zaczęła się wdrapywać na wzniesienie. Silnik prychał, rzeził, zdawało się, że za chwilę stanie.

Na tle ciemnego horyzontu zarysował się wyraźnie masyw lasu.

Ciężarówka ciągle jeszcze pokonywała wzniesienie. Krawczuk wpił się dłońmi w kierownicę, zacisnął

zęby. Na jego zazwyczaj łagodnej twarzy pojawiła się teraz zaciętość, tak jak gdyby własne mięśnie sprzągł

z mechanizmem ciężko pracującej maszyny. Obok Krawczuka siedział

Kołodak. Spokojnie émił skręta, jego.

kudłata ruda głowa bezwolnie chwiała się w rytmie drżenia i kołysania całej ciężarówki.

Przez szybę szoferki coraz wyraźniej widzieli las.

— Ty... Ty w tym lesie to lepiej przyciśnij — mruknął Kołodak.

— Przycisnąć to se możesz babę do płotu! — warknął Krawczuk i jego dłonie ściskające kierownicę rozwarły się nieco. Mięśnie w nim jak gdyby na chwilę rozluźniły się, ale wiedział, co to znaczy, znał ten moment, nigdy nie wróżył

niczego dobrego. Nacisnął wolną od kierownicy ręką czapkę na oczy, też znajomy odruch. Ściągnął czapkę na tył głowy, omal jej. nie wyrzucił przez otwarte okienko szoferki.

— A niech cię... A niech cię... — zaczął mamrotać pod nosem.

Usiłował się uspokoić, przemawiać w duchu sam do siebie i kłąć.

Zjeżdżali po zboczach. Kołodak milczał przez dłuższą chwilę, skręt zaczął mu parzyć koniuszki

palców.

— Jakbyś tak dodał gazu... — mruknął znowu.

— Czego?

—

Gazu, mówię.

—

Dodaj se — tego, co masz w portkach!

— Mnie daleko do strachu — ciągnął swoje spokojnie Kołdak. — Ale jakbyś tak dodał gazu, to po tych dołach śmigalbyś, że hej!... A tam w lesie trzeba by...

— Pieprzyta, ojciec! — krzyknął Krawczuk. Widać było, że tym krzykiem chce stłamsić wzbierający w nim niepokój.

Metoda, psiakrew, niezawodna metoda — myślał gorączkowo. — Ojciec uczył, ale chyba niewiele nauczył... Pomyśl, że już wszystko przeżyłeś, że już nic do stracenia nie masz... On nie miał, kiedy uczył, a ja?... O kur...! Wścieknij się, myśl, że litr samogonki masz w sobie, że ci wszystko jedno, nic gorszego ani za tobą, ani przed tobą... A każdy ma diabła za skórą na swoją miarę! Kiedy trzeba, wypuszczaj czorta!... Ej, ojciec, ojciec...

Wjechali między pierwsze drzewa.

Las był rozedrgany od wiejącego silnie wiatru, którego ciągle porywy strącały z gałęzi smugi kropli.

Dudniły głucho o napiętą plandekę i dach szoferki. W lesie droga się zwężyła, zdawało się, że jest jakby na siłę upchana między zwarte ściany drzew.

Zaciskały się coraz bardziej, i światła reflektorów, kiedy tylko ciężarówką rzuciła jakaś koleina czy wykrot, biły w górę, jak gdyby roztrącając je, wyłamując między nimi coraz szersze przejście. Kałuże pod kołami pryskały wtedy na boki i w cieniu następującym za oświetloną maską samochodu rozlatujące się bryzgi błotnistej wody podobne były do przyczajonych postaci, które wy-skakiwały nagle w leśny gąszcz.

Krawczuk, przypięty do kierownicy, mówił nienaturalnie głośno:

— Gazu mu dodaj!... Luz w kierownicy jak jasna cholera, a ten... Bracie, pod prokuraturę mamy zajechać, a nie pod zakład pogrzebowy!

— On nie przeżyje — rzucił spokojnie Kołdak.

Krawczuk na chwilę oderwał oczy od drogi. Wczepił się spojrzeniem w twarz tamtego. Jednocześnie ciężarówka jakby poderwała się, zwiększyła szybkość.

— Musi — powiedział przez zęby. — Musi, skurczybyk!...

— SpójrzSięL.

Kołdak uderzył ręką w szybę.

Przed nimi, jakieś sto, sto pięćdziesiąt metrów zamajaczyła sylwetka człowieka. Stał na wąskiej drodze, rozkrzyżował ręce. Światła reflektorów już go dosięgały. Krawczuk machinalnie zaczął wyhamowywać.

Kołdak odwrócił się szybko, zastukał w okienko z tyłu, wpatrzył się w ciemne wnętrze.

Platforma ciężarówki była wypełniona po brzegi jabłkami. W rogu zrobiono coś w rodzaju barłogu, który również otaczała sterta jabłek. Spod koców wystawała nieprzytomna, przeżarta gorączką twarz. Obok tego posłania siedział doktor Sarnicki. Wpatrywał się w tę twarz z takim na tężeniem, jakby liczył każdą kroplę potu, którą rozbłyskiwało czoło tamtego.

Marian przypadł do okienka. Był to młody mężczyzna, ostra, skupiona twarz dziwnie kontrastowała z miękkim spojrzeniem jasnoniebieskich oczu.

Cywilne, przypadkowe ubranie leżało na nim wyjątkowo źle.

Po drugiej stronie okienka przerażone spojrzenie Krawczuka. Marian zorientował się, że ciężarówka zwalnia bieg. Zrobił gwałtowny ruch ręką.

Sarnicki zrozumiał, o co mu chodzi. Nieprzytomną, wystającą spod koców twarz nakrył wiklinowym koszem i zaczął zgarniać nań jabłka. Potem całą resztę pośłania pokrył szybko warstwą owoców.

Marian usłyszał przez szybę stłumiony krzyk Krawczuka:

— Zatrzymać?...

—

Jedź! — rzucił wściekle.

— Kiedy nie schodzi, nie schodzi... Żeby go jasna cholera!...

Sylwetką stojącego na drodze człowieka przybliżała się coraz bardziej.

Krzyczał coś, wymachiwał rękami. Światła reflektorów jak ostrza wycinały z mroku jego wykrzywioną od krzyku twarz.

To wszystko trwało sekundy... Krawczuk docisnął gaz. powieki zadrgały mu, zamknął oczy jak ktoś.

Kołodak czuje, że za chwilę nieuchronnie zwali się w przepaść. Kołodak spokojnie zapalał następnego skręta.

Krawczuk nie wytrzymał, ciężarówka znów zwolniła.

Usłyszał bębnienie w okienko i krzyk Mariana:

— Jedź! Jedź!... Utłukę, pod sąd oddam!... Jedź, psia twoja...

— O Chryste, Chryste Panie — wymamrotał Krawczuk.

Człowiek stojący na drodze już nie krzyczał. Opuścił ramiona, cały objęty światłem.

Parę godzin wcześniej...

Jest jeden z tych jesiennych dni, kiedy zmierzch następuje szybko i trwa tak krótko, że nie wiadomo kiedy stapia się z nocą. Czasem chmury jeszcze nie całkiem wetrą się w niebo, bo podświetlone jakąś łuną przypominają nasiąkające krwią tampony, którymi naprędce zatyka się ranę. Potem nagle, gdy uderzy deszcz, rozmywa się to wszystko, rozprasza po niebie, zrównuje je z jednolitą ciemnością, niemal czarną skorupą, przez którą od czasu do czasu wciska się trochę księżycowego światła. Zaraz później noc napada zniecka, długa, ale tak samo dręcząca jak bezsenność.

Posterunek milicji w Podcieniach, małym miasteczku, oszczędzonym przez wojnę. Nie miały go jednak oszczędzić dni, które nastąpiły zaraz potem, kiedy ostatnie oddziały przeciągnęły jego uliczkami i zdawało się, że jeśli rozlegną się jeszcze jakieś wystrzały, to te na wiwat.

A zatem zmierzchało się... We wnętrzu dużego i jak gdyby stale wstrząsanego podmuchami wiatru pomieszczenia majaczyło kilka sylwetek. Nieruchomych, zastygłych w oczekiwaniu. Wszystko zresztą w tym momencie zdawało się natarczywie wyczekiwać — odrapane ściany, rozlepione na nich propagandowe afi-sze, sfatygowane krzesła, stół, rozbabrane na nim papiery i połowy telefon. Nawet wiatr, który grasował na zewnątrz, wydawał się nerwową tkanką opinać znieruchomiłych w napięciu ludzi.

Spod okna podniósł się Kołodak. ma na sobie mundur milicyjny, wytarty, łatany na łokciach innym materiałem. Na roz- kudłanej głowie zwyczajna cyklisto wka z orzełkiem. Marian rozpiął pod szyją mundur. Na naramiennikach błyszczą dwie gwiazdki. Kołodak sięgnął po lampę naftową.

Marian zbliżył się do okna.

otworzył je. wiatr uderzył go w twarz, opiął na nim drelich munduru.

— Psiakrew, co mi tak duszno!... — otarł chusteczką spocone czoło, odwrócił

się od okna, zobaczył, że Kołdak chce zapalić lampę: — Nie zapalaj!

Po chwili dodał: — Tak będzie lepiej.

Kołdak zgasił zapałkę, ich sylwetki znowu ugrzęzły w półmroku.

Usłyszeli kroki zbliżające się ku nim z sąsiednich pomieszczeń. Obite blachą drzwi otworzyły się, ukazała się twarz Krawczuka.

— Wprowadzić? — Krawczuk spojrział w stronę Mariana.

— Za chwilę — powiedział Jeżewski.

Krawczuk zamknął drzwi. Jeżewski podszedł do Mariana. Nie ogolony, w wytartym garniturze i przybrudzonej koszuli, zza okularów wydobywa się zmęczone, ciężkie spojrzenie. Twarz, w której się czyta, że ten człowiek dużo zniósł i dużo przeszedł.

Nie można natomiast rozpoznać niczego, co by mówiło o jego przeszłości.

Wszystko myli... Ten na pozór wyglądający jak kasjer mężczyzna brał już udział w takich wydarzeniach, które zazwyczaj wieńczy się pomnikiem.

Zawsze szukał dla siebie miejsca wśród spraw istotnych, konkretnych, doraźnych...

— Marian...

— Tak.

— Daj... — Jeżewski przeciągnął dłonią po rzadkich, posiwiałych włosach. —

Daj... ja z nim spróbuję.

Marian roześmiał się nerwowo:

— Spokojnie i rzeczowo, co? Wyższa szkoła jazdy!... Dobra! Nie boisz się, że im się w głowach może poprzewracać? Jak się dowiedzą, że tu taki anioł ich spowiada, papierosami częstuje, pyta, czy jedli, jak spali i o mały włos dziewczynek im nie wpycha do wyrka, to sami na kolanach zaczną do nas przychodzić!... Przyjdą ci całymi watahami, może jeszcze po rękach zaczną, sukinkoty. całować, brać ziemię, do której teraz naszych chłopaków posyłają... Tak? A kiedy im wreszcie powiesz, co zrobili, zaczną bić się w piersi, że to wszystko nieporozumienie...

Bo i tak być może! — krzyknął Jeżewski.

— Dobra, przebaczajmy, tylko nie od zaraz! Za „dobrą” robotę należy się uczciwa zapłata!

Oczym myślisz?

— Jest taka frontowa zasada... Oszczędzisz wroga, nic nie myśl, że on cię oszczędzi!

— Za daleko się posuwasz, Marian!

— Posuń się dalej, naucz „Wertepa” naszych... kilku przykazań i odeślij go do nich wolno!

Jeżewski pobladł.

W rogu pokoju ktoś zachichotał. To Listwa. Wysoki, żylasty, w za małym dla niego mundurze. Pepesza zwisa mu na piersiach i jakby ciągnie ku ziemi całą długą postać. W oczach uczciwość miesza się z uporem, zawziętością. Można by powiedzieć — taki Sienkiewiczowski Podbipięta, ale wyostrzony w tym, co robi, bo i miał czym swój charakter ostrzyć.

Wysunął się teraz do przodu i zaczął mówić cicho:

— Pan komendant dobrze gada. Och, już ja bym z drańmi jednymi w rękawiczkach!... Pan Jeżewski, ja panu nie opowiadał, jakie oni mnie rękawiczki z własnej mojej krwi serdecznej przypasowali?... Ot, patrz pan i napatrz się!

Podwinął rękawy i pokazał przeguby dłoni, dwie blizny okalały je jak bransolety.

— Naciął, majster jeden, leciuszko — ciągnął dalej Listwa — ważnej żyły nie ruszył nawet, a mnie zaraz rękawiczki całe czerwone — aż pod paznokciami kipiało!... Swołocze! Ot, majstry od ludzkiej krwi!

Marian dotknął jego ramienia.

— Już, już, spokój, Listwa...

— Pan komendant, prośbę mam — zwrócił się do niego Listwa. — Ja bym chciał do Strzekocian jechać. Ja bym chciał na własne żywe oczy tę swołocz,

„Groma”, zobaczyć!...

Marian uśmiechnął się ironicznie i wskazał palcem na obite blachą drzwi:

— Proś jego!

—

Niby Wertepa?...

— Jego proś, żeby ci go wskazał! Jak nie zechce, to możesz ty tych Gromów...
od groma i trochę zobaczyć!

— Już ja bym go poprosił!... Po ichniemu! — powiedział Listwa i wycofał się w swój kąt.

Marian spojrzał na Jeżewskiego, ten skinął głową. Marian wolno podszedł do drzwi, zanim nacisnął

klamkę, jeszcze raz spotkał się wzrokiem z Jeżewskim. Było w tym spojrzeniu coś, o czym tamten wiedział.

Niepokoilo go to, niejednokrotnie kazało odwoływać Mariana z pewnych akcji, wysyłając innych. Skakali sobie potem do oczu. wreszcie Marian musiał
rezygnować, choć nie było wiadome, czy do końca... rezygnował.

— Uspokój się! — rzucił ostro Jeżewski. Zdjął okulary, jego powieki na sekundę ciężko opadły na
oczy. Po chwili powiedział jakby do siebie: — Mam coś... Coś dla niego mam.

Marian jednym szarpnięciem otworzył drzwi.

W progu stał Wertep — przeciętny — średniego wzrostu typ, oczy miał tylko jakby matowe, jakby
maskujące swój naturalny wyraz. Stał między Krawczukiem a drugim milicjantem, wielkim
dryblasem, którego nazywali tu jego okupacyjnym pseudonimem „Siarka”. Duży, z głupkowatym
wyrazem twarzy, ale spod prawic pozbawionych rzęs powiek wyglądały mu zupełnie

„rozgarnięte” oczy. Było w nich jednocześnie coś sympatycznego i coś, co mogło zniechęcić.

— Prosimy, Wertep — powiedział Marian.

Krawczuk pchnął bandytę na środek pokoju.

Siarka wrócił na korytarz, drzwi zostawił lekko uchylone. Panujący w pokoju półmrok gęstniał z
każdą chwilą, a dym z papierosów układał się w nim jak płynna, falująca zawiesina. Krawczuk oparł
się o ścianę, odstawił na bok kubek i zaczął się drapać pod pachami.

— Nic, tylko wszy podłapałem od tego skur... — przekleństwo przeszło w przedłużone „r”.

Milczenie zaczęło ciążyć. Prawie słychać było, jak Kołdak głęboko zaciąga się skrętem, jak
Jeżewski szybko, nieomal w gruzliczym rytmie nabiera do płuc powietrza, jak Marianowi kropla potu
przesuwa się po skroni, jak Krawczuk, najmłodszy z nich wszystkich, zamiera nagle w sobie,
spojrzeniem tłucze o twarze, czepia się ścian, sprzętów, tylko nie twarzy Wertepa. Z każdą chwilą
coś się w ludziach odzywało i jak granat zaciśnięte w grudę nienawiści nie mogło wyrwać
zawleccki, rozszarpać siebie i tamtego... Jednocześnie, do szczętu.

Wertep zastygł wyprostowany na środku pokoju. Reszta prawie symetrycznie przystanęła pod
ścianami.

Zmierzch tężał wokół nich. zawęzła ich postacie w nieruchome, wyczekujące bryły.

Wreszcie usłyszeli spokojny i jakby jednostajny głos Jeżewskiego:

— Wiktor Malarczuk, pseudo „Wertep”. Od pół roku w oddziale Groma.

Wykształcenie — prawie średnie. Ojciec nauczyciel. Nieżonaty, dzieciaty.

Kropka.

Skrzypnęła podłoga, Jeżewski podszedł do bandyty.

— Wertep! — krzyknął mu prosto w twarz.

— Pocałuj ty mnie... — syknął tamten.

Jeżewski uśmiechnął się lekko. Ich spojrzenia — to zamaskowane, matowe i to przyciemnione zmęczeniem — zderzyły się ze sobą.

— Kropka i... i przecinek — to był głos Kołodaka.

Zdjął czapkę, z jej wnętrza wydłubał jakiś papierek. Przytknął go do oczu i udając, że czyta, zaczął:

— Młyn w Podolach. Szkoła w Zaligróci. Wiec pod Zatorami. Trzy szubienice tylko, nie miał czasu się zabawić... Posterunek w Kali...

Tę twardą, okrutną litanię przerwał śmiech Wertepa.

— Ty mała, nędzna Judaszyno!... — krzyknął patrząc z nienawiścią na Kołodaka. — Chcecie, to wam mogę powiedzieć, dlaczego rzucił się w wasze

„braterskie” ramiona!... Wyrwał się do was, uciekł, bo mu serce tak dyktowało, co? Przez rok, jak był w zgrupowaniu „Tatara”, serduszko dyktowało mu zupełnie co innego!

I nagle przejrzał, co? Przejrzał, tak?...

— Stul pysk, ty... — wycedził Kołodak.

Rozcapierzył dłonie i już miał się rzucić na tamtego, zacisnąć te dłonie na jego grdyce, kiedy osadził go w miejscu głos Mariana:

— Kołodak!

Kołodak objął teraz rękami swoją kudłatą głowę i kręcąc nią jak opętany zaczął powtarzać:

— Ludzie, ludzie... Jak taki może, jak taki może...

Wertep zaśmiał się krótko, a potem wyrzucił z siebie szybko, pewnie:

— Ja wam powiem, dlaczego „przejrzał”! Rąbnął

kasę oddziału i Tatar powiedział, że go rozwali, jeżeli pieniądze nie znajdą się w ciągu tygodnia!

— Łże, na miły Bóg, łże! — zachrypiał Kołodak i zatoczył się w stronę Mariana. — Obywatelu poruczniku, ja...

— Nieważne! Zostaw, nieważne — uciął Marian.

—

Kiedy łże, obywa...

—

Milczeć!

Marian potrząsnął Kołodakiem. To wystarczyło, żeby tamten się opamiętał.

Usunął się w kąt, nie odrywał jednak od Wertepa rozgorączkowanych oczu.

— I takich ich macie... przechrztów! — Wertep splunął Kołodakowi pod nogi.

— Róbcie z nimi Polskę, a zobaczycie, co wam z tego wyjdzie!

Jeżewski postąpił ku niemu.

— Wertep!... — zaczął i widać było, że jest wzburzony, że z trudem opanowuje drżenie głosu.

— Dla ciebie żaden Wertep — usłyszał w odpowiedzi.

— Och ty, sobacza twoja...

To Listwa. Nie wytrzymał, ruszył na tamtego, ramiona jak ciężkie wahadła za- kołysały się, gotowe do uderzenia. Ale Marian był szybszy, w ostatniej chwili stanął między nim a Wertepem.

Widząc to bandyta znowu się zaśmiał:

— Proszę! Gdzieżbym się mógł spodziewać, że takiego obrońcę tu znajdę!

Gdybym wiedział, to Boże zlicz, ilu takich, co im się gwiazdki na ramionach niechcący zaświeciły...

Marian skoczył ku niemu.

— Poruczniku ! — rozległ się ostry krzyk Jeżewskiego.

Marian zatrzymał się w pół ruchu. Chwilę stał w miejscu, usiłując nie patrzeć na twarz Wertepa, potem podszedł wolno do Kołdaka.

— Dyma, jednego dyma — powiedział.

Kołdak zaczął mu szybko przygotowywać skręta.

— A co? — rzucił Wertep. — Ciężko pod tymi gwiazdkami, co? Daleko je jeszcze poniesiesz?...

Przy-gniotą cię, bo za ciężkie i kradzione!

Marian zagryzł wargi. Przywoływał dotąd do porządku innych, ale jego samego słowa Wertepa i ton szydery śmiech zaczynały już doprowadzać do pasji. Nie dziwił się wcale swoim ludziom. Czuł, że następnym razem i siebie, i ich nie_ będzie w stanie powstrzymać... Wiedzieli za dużo, przeszli zbyt dużo, kiedy ich rozdrażnić do końca, oglądać się nie będą nawet na Jeżewskiego. Ten ostatni wyczuwał już to, gdyż podszedł do nich, do Mariana, Kołdaka, Krawczuka, Listwy. Nic nie powiedział, stali naprzeciwko siebie, próbowali nie patrzeć sobie w oczy.

— To i lepiej — mruknął do siebie Jeżewski.

Marian dosłyszał jednak.

— Co? — krzyknął.

— Grom jest w naszych rękach — rzekł wolno tamten, podchodząc do Wertepa.

Twarz Wertepa na moment się skurczyła, w oczach zamigotał lęk. Ale to była tylko chwila. Zaraz potem na ustach znowu pojawił mu się uśmiezek i usłyszeli:

— Opowiesz mi to jutro. Po wykonaniu wyroku. Wyrok, tak to nazywacie, nie?

— Siedzi w Strzekocianach — ciągnął dalej spokojnie Jeżewski. — Siedzi z pięcioma innymi. Jest wśród tych pięciu. Tego jesteśmy pewni... Że jest!

Na twarzy Wertepa pojawiło się coś w rodzaju udanego rozbawienia:

— Staruszk, nie mnie opowiadaj te głodne kawałki!...

Jeżewski odczekał, aż tamtemu zniknie z twarzy sztuczna, wyzywająca maska.

— Byłeś jednym z tych, którym pozwalał się widzieć

— Jeżewski mówił dobitnie, wolno, jakby chciał, żeby jego słowa mogły być natychmiast powtórzone z pamięci przez tamtego. — Grom jest teraz wśród tych

pięciu. I ty go wskażesz.

—Poważnie? — parsknął śmiechem Wertep.

i nagle Jeżewski na odlew uderzył go otwartą dłonią. To uderzenie jak błysk wyrwało się z jego przygarbionej sylwetki. Wertep poleciał na podłogę.

Jeżewski wyjął chusteczkę i zaczął nią wycierać twarz.

—Poważnie — powiedział cicho.

Marian, patrząc na leżącego na podłodze,

lekko się uśmiechnął. Któryś tam już raz z rzędu otarł spocone czoło. Ten pot wyciskały nerwy. W pokoju było niemal zimno. Przez uchylone okno podmuchy wiatru docierały do wnętrza, a z nimi pierwsze, jakby zapowiadające dopiero ulewę krople. Marian uśmiechnął się nie na widok powalonego Wertepa. Ten uśmiech był skierowany do Jeżewskiego. Zdawał

się mówić: „Widzisz, nawet ty... Nawet ty nie umiesz czasem zapanować nad sobą". Czasem!... Marian był z natury wybuchowy, traktował wszystko emocjonalnie, nie potrafił kalkulować, bawić się w psychologiczne pułapki,

„wytrzymywać” przeciwnika. Szedł z frontem, został odkomenderowany do tej roboty przypadkowo. Może dlatego, że pochodził z tych stron. Na początku myślał, że nie wytrzyma. Zwiad, wojskowy zwiad — to jego pasja. W

tym był dobry. W tym był... lotny. Tu wszystko szło topornie, niewdzięcznie...

Niewdzięcznie! Na początku nie miał żadnych punktów trwałych, uchwytnych. Odnosił wrażenie, że

śledzi cienie, pozory. Tylko że te cienie pozostawiały zawsze za sobą piekielnie rzeczywiste ślady. Powoli zaczął wyczuwać przeciwnika. Powoli zaczął się przyzwyczajać do reguł gry; odbywać tę swoistą, okrutną edukację u boku Jeżewskiego, który każdym czynem zdawał się tłumaczyć, że emocje nie prowadzą do niczego, że w chwilach ostatecznego wyczerpania trzeba się zawsze zdobyć na trzeźwość, na skuteczność, na mądrość w rozegraniu decydującej sytuacji. Zarówno on, jak i Jeżewski wiedzieli, że nie zawsze to możliwe. Żyli w gorączce. Dwadzieścia cztery godziny na dobę w ogniu, którego żar był wyczuwalny aż po ludzką wytrzymałość...

Teraz, widząc reakcję Jeżewskiego, uśmiechnął się... Zaraz polem spotkał się z jego oczami. I jak gdyby nie wytrzymując tamtego przenikniętego zmęczeniem i gorączką spojrzenia, odwrócił się do ściany. Pomyślał nagle, że ten człowiek zasługuje na wytchnienie, że jakiś krótki przestój w działaniu należy mu się od dawna i że zedrze do ostatka swoje siły, zanim będzie wreszcie zadowolony z tego, co zrobił. Pomyślał też o samym sobie... Po chwili wydało mu się to niewarte myślenia...

Wertep ciągle jeszcze leżał na podłodze. Był nic tyle oszołomiony uderzeniem, co faktem, że stało się to nagle i w momencie, który przerwał mu zdecydowanie

ciąg jego straceńczo-szyderczych zagrań. Nie spodziewał się tego po Jeżewskim. Był trochę wycieńczony, ale nie na tyle, żeby od uderzenia tego

„kasjera”

upaść zaraz na ziemię. Widać tamten maskował się tylko okularami, sylwetką, na którą by nikt dwóch groszy nie postawił. Tym gorzej dla niego, kiedy on, Wertep, wie, z kim ma do czynienia...

Dobrze wytresowany pies pomyślał.

Jeżewski podszedł do stołu. Ze zniszczonej teczki wyjął dwie zmięte kartki papieru. Na jednej z nich widniały ślady krwi. Wrócił z nimi do Wertepa, pochylił się nad leżącym.

— Pamiętasz ojca? — zapytał.

— Nazywał się tak samo jak ja! — Wertep spróbował jeszcze raz poprzedniego tonu.

— W porządku — powiedział Jeżewski i widząc, jak tamten niespokojnie patrzy na kartki w jego rękę, zadał następne pytanie siląc się, aby wypadło spokojnie i rzeczowo: — Matkę pamiętasz?

— Czego chcesz? — Wertep uniósł się z podłogi.

Jeżewski znów odczekał chwilę. Czuł na sobie wzrok Wertepa, wzrok kogoś, kogo zaczyna osaczać nieprzewidziana sytuacja. Czaiło się w Wertepie wszystko, wyzwanie i skomlenie, nienawiść i jakby odro-bina nadziei... Na chwilę, której nawet nie

dostrzegła reszta, bandyta przestał być sobą. I to, co wydawało się w nim zahartowane, przez moment rozlało się, rozmiękło, stało się jakimś koszmarnym wyczekiwa-niem. Wyczekiwaniem gorszym od wyczekiwania na najgorszy choćby wyrok.

— Ojca możesz nie pamiętać. Był człowiekiem... — Jeżewski zawiesił głos

— ...Więc możesz go nie pamiętać. Ale matka jest tylko matką, nie?

— Zostaw moją matkę w spokoju, ty!... — Wertep jakby chciał się poderwać, zderzyć z Jeżewskim, ale wystarczył jeden nieznaczny ruch ręki, żeby wrócił

do poprzedniej pozycji. To jego zagranie było jak kwestia aktora, który przyznaje się nią do scenicznej porażki.

— „Zostaw w spokoju. Matkę zostaw w spokoju” — Jeżewski spróbował go zacytować. — Spokój!

Mają teraz dużo spokoju. Wystarczająco dużo.

Wertep dzwignął się z podłogi. Jego twarz nie była już w stanie przybrać żadnej maski. Malowało się tylko na niej przecucie, domysł... Tragiczny domysł.

— Wyście ich... — wykrztusił. Zabiliście, dranie!...

Zamknij pysk! Poznajesz?

Jeżewski podetknął mu pod oczy jedną z kartek. To była ta kartka, której nie przeżarły ślady krwi. Kołdak pochylił się nad Wertepem, zaśwycił nagle zapałka.

— Podpis Groma — powiedział i wskazał palcem parę strzelistych, nerwowo skreślonych liter, które widniały na skraju kartki.

— Podpis... Podpis Groma — powtórzył martwo Wertep.

Znowu nie mógł ukryć niepewności, ale teraz już jakby cień strachu przeszedł przez jego twarz. Obecni, skryci w półmroku, jeszcze ciągle nie domyślali się tego, czekali na słowa... Nawet Marian nie wiedział, do czego zmierza Jeżewski. Był tylko coraz bardziej zniecierpliwiony.

Wertep wymamrotał:

— Moment, ale o co chodzi?...

Nikt mu nie odpowiedział.

— Po jaką cholere mi to pokazujecie! To...

Zapałka zgasła.

— Głupstwo, istotnie — odezwał się Jeżewski. — Tylko czek, który „lojalnie” wystawiał za zrabowane rzeczy. Przypatrzyć się dobrze. Ważne, żebyś był całkowicie pewny, że to jego podpis. Taki sam podpis znajdziesz i na czekach za zrabowane Świnic, i pod wyrokami na ludzi! A teraz spójrz na to!...

W palcach Kołdaka znowu zapłonęła zapałka. Jeżewski podetknął Wertepowi pod oczy drugą kartkę, tę poplamioną krwią. Zakrył dłonią jej treść, odsłonił tylko widoczny u dołu kartki podpis.

— Podpis ten sam. co? — powiedział. — „R” jak ściśnięte „g”, „o” jak gdyby urwane w połowie i „m”

ostre, wydłużone.

Wertep milczał.

— Zgadza się? — zapytał po chwili Jeżewski.

Na skroniach Wertepa pojawiły się krople potu.

Jeżewski odsłonił treść kartki, zaczął czytać:

— „...za zdradę ojczyzny, za współpracę z bolszewickimi pachołkami skazuje się Malarczuka Antonie-go, nauczyciela...

Jeżewski urwał, zapałka wypaliła się w palcach Kołdaka.

— „...i Malarczuk Marię...” — kończył czytać Jeżewski.

W tej samej chwili Wertep wyrwał mu kartkę z dłoni. Przywarł do niej oczami, jakby chciał przenikniętym bólem spojrzeniem rozedrzeć ją na pół.

— Podrobiliście, dranie! — krzyknął.

Trzymając papier w trzęsących się rękach, zaczął czołgać się na kolarzach w stronę Mariana. W mroku jego twarz była niewidoczna. Słyszał tylko oddech, rżący, przetykany błagalnym niemal szeptem:

— Podrobiliście?... Boże, Boże!... Wyście to podrobili!... Tak? Ludzie, to nie może być prawda!

Marian odsunął się, kiedy na klęczkach toczący się ku nim Wertep celował

akurat na jego buty. Z Wertepem stało się coś dziwnego, jego krzyk zaczął być aż nieznośny,

wibrujący i histeryczny, jak gdyby chciał

nim zagłuszyć siebie i kołatające jeszcze pod czaszką — jak ptaki — sumienie.

Szedł, pełził, zlany potem, polem wymieszanym ze łzami.

Znalazł się u stóp Kołdaka.

— Kołdak!... To nie może być! ...To kłamstwo!

— Spytaj woźnego ze szkółki — odezwał się cicho Kołdak. — Odpiął im od piersi ten papier i przyniósł do nas... Sam miał, chłop, szczęście, uchwycił się, w wygodce siedział w tym czasie.

Pamiętasz, żołądek miał do niczego. W

nocy, bywało, i ze trzy razy

musiał obracać. Paskudna dolegliwość, a nie wiedzieć jak i kiedy życie może uratować...

Marian odwrócił się do okna. Kilka kropel deszczu niesionych wiatrem uderzyło o jego twarz.

Przetarł

dłońmi zaczerwienione powieki.

Wreszcie coś — pomyślał. — Nie na wiele się to zda, ale oby Jeżewski miał

rację.

Poczuł się nagle bardzo zmęczony. Najgorzej, że to zmęczenie wchodziło mu w nogi. Oparł się o para-pet i przez chwilę zacinający deszcz kładł mu się na twarz jak kompres.

Wertep ciągle klęczał pośrodku ciemnego wnętrza. Opuścił na piersi głowę, znieruchomiał.

Zdawał się przetrawiać w sobie jakąś decyzję.

Jedna z cel więzienia w Strzekocianach. Odrutowana żarówka rzuca słabe światło na skulone pod ścianami postacie pięciu mężczyzn. To o nich mówił

Jeżewski przesłuchując Wertepa. Dwóch z nich drzemie, dwóch innych skubie swoje kawałki chleba i wolno, beznamiętnie przeżuwa kęs po kęsie.

Piąty — chudy, wyraźnie podniszczony człowieczek o młodej jeszcze twarzy —

dygocze w ciemnym kącie, jakby go trzęsła febra. Z tą twarzą dziwnie kontrastuje pokaźna łysina.

Sprawia wrażenie charakteryzacji, choć w istocie wcale nie jest jakimś sztucznym zabiegiem. Czerep duży, z resztkami włosów koło uszu, brwi niemal styka-ją się z rzęsami, a wszystko razem nie odbiera jego twarzy tzw. „inteligencji”.

Na ratuszu w Strzekocianach wybiła właśnie ta sama przedwieczorna godzina, o której padły pierwsze słowa między Jeżewskim a Wertepem. I tutaj chmurny, deszczowy zmierzch oblepia ściany odrapanych kamieniczek, kołuje nad „solidnymi”, przedwojennymi jeszcze murami więzienia, tłamsi sylwetki rzadkich o tej porze przechodniów.

„Łysy” od pewnego już czasu czuł na sobie uważne i jakby drwiące spojrzenie jednego z żujących chleb. Coraz bardziej dygotał na całym ciele. Wreszcie nie wytrzymał, rzucił się do drzwi celi, zaczął łomotać w nie pięściami.

— Wypuście! Ja nie Grom! Ja żaden Grom! Powiem wszystko — gdzie, co, ile... Sklepiarz w Rospu-dach mnie zna! Jego zapytajcie, czy mu nie zginęło 223 „miękkich”? Albo proboszcza, proboszcza w Zato-rach... Srebrna zastawa, cała kwesta z odpustu... Spytajcie proboszcza! Wypuście! Jaki ja tam Grom? Rany boskie, czy mam się jeszcze z czego innego spowiadać? Nic więcej na sumieniu nie mam... Zaraz, czekajcie, hej!... O Boże, co to jest.

zdarzyło mi się zhandlować trzy pary żołnierskich butów!... A czy ludzie teraz mają buty?

I bębniąc coraz zapamiętałej w drzwi, zaniósł się miękkim, niemal kobiecym szlochem.

Ten, który go obserwował od dłuższego czasu, podniósł się spod ściany.

Zerknął na pozostałych. Unieśli głowy, ale żaden się nawet nie poruszył.

Powolny w ruchach, opanowany, podszedł do Łysego.

Pod jego „hiszpańskim” wąsikiem pojawił się ni to grymas, ni to uśmiech...

— Wal, wal, robaczku!... — powiedział cicho. — Ulżyj sobie.

I nagle uderzył Łysego z tyłu w kark.

Łysy zaskowyczał i zwinął się w progu. Teraz „Hiszpan” zaczął w drzwi silnie kopać. Łomotał tak dłu-go, dopóki nie usłyszał kroków po drugiej stronie.

Zaraz potem zakratowane okienko otworzono od zewnątrz, pojawiła się w nim twarz strażnika.

— Czego? — zapytał.

— Tu jeden zemdłał — burknął Hiszpan.

Któryś spod ściany zaśmiał się. Hiszpan pochylił się nad Łysym, dźwignął go i ustawił jego nieprzytomną twarz na wysokości otworu. Strażnik zobaczył

zapuchnięte powieki, spieczone usta i pot, który powlekał łysinę. Kiedy tę twarz ujrzał między kratkami okienka, niedobrze mu się trochę zrobiło, bo wyglądała niby głowa powieszzonego... A przy tym łysina nadawała temu, co w wykroju kratki widział, dość ni esa mowi ty wyg ład.

— No to jak z nim jest? — zapytał.

— Szczur go ugryzł w dupę! — rzucił któryś spod ściany i reszta zarechotała wraz z nim.

— Widzisz, że zemdłał — powiedział do strażnika Hiszpan, podtrzymując dłonią opadającą na bok głowę Łysego. — Powietrza tu za mało. Wody daj!...

—

Poczekaj — strażnik odszedł od drzwi, ruszył w głąb więziennego korytarza, po drodze wymamrotał

do siebie: — Zemdłał!... Delikatne, psie syny!

W miejscu, gdzie korytarz skręcał, stało wiadro. Strażnik zaczerpnął wody, wrócił pod drzwi i sięgnął

do kieszeni po klucze. Byłby pewnie otworzył celę, gdyby w ostatniej chwili nie zastanowiło go czujne, badawcze spojrzenie Hiszpana, śledzące każdy jego ruch.

Strażnik odwrócił się w stronę zakrętu korytarza i krzyknął:

— Józek!

Po chwili, wlokąc za sobą pepeszę, wyszedł z zakrętu młody, rozespany milicjant.

— Józek — powiedział strażnik — stań tak, żeby tych cholerów mieć pod lufą!

Milicjant ziewnął, zarepetował pepeszę i ustawił się na wprost drzwi.

Hiszpan, widząc to wszystko, splunął i jak worek rzucił Łysego na podłogę celi. Spotkał się wzrokiem z pozostałymi, poruszył przecząco głową. W

milczeniu zajął swoje miejsce pod ścianą i zabrał się znowu do skubania chleba. Jeden z siedzącej trójki zrobił znaczący gest, który świadczył o tym, że Hiszpan głupio wymyślił całość... Hiszpan oderwał zaraz jego głową kawałek tynku i uspokoiło się w celi. Dwóch innych zajęło się lepieniem kulek z chleba i łapaniem ich z podrzutu w otwarte usta. Hiszpan z nudów zaczął robić to samo. Patrzyli jednak ciągle na drzwi.

Otworzyły się.

— Który to ten zemdlony? — strażnik stał w progu z kubkiem wody w ręku.

Za jego plecami widzieli młodego milicjanta z wymierzoną w głąb celi pepeszą.

Łysy poruszył się na podłodze.

— Masz... zemdlonego! — rzucił w stronę strażnika Hiszpan. — Sam się ocucił!

Wertep powoli podniósł się z klęczek. Nie śpiesząc się i jakby z jakimś namaszczeniem zaczął składać małą, poplamioną krwią kartkę. Złożywszy ją, schował do kieszeni kurtki na piersiach. Wszystko to robił

wolno, chciałoby się powiedzieć: dokładnie, jak ktoś, kto przed chwilą podjął ostateczną i nieodwołalną decyzję; i komu ta decyzja stępiła nerwy, zmieniła go w przedmiot, w narzędzie gotowe do natychmiastowego działania.

Popatrzył jeszcze na Mariana, Jeżewskiego, na resztę. Już nic nie myślał. To, co przed kilkoma godzinami było dla niego żywą prawdą, wiarą, stało się teraz błotnistą koleiną, z której nie umiał inaczej wybrnąć, jak tylko w ten sposób... Nie myślał i nie czuł i w tym momencie był to jedyny sposób, żeby czemuś sprostać.

— W porządku — powiedział spokojnie. — Możemy jechać.

W pokoju nadal panował mrok, nikt nie zapalił lampy. Rozbłysły tylko trzy papierosy. Rozjaśniały na chwilę twarze, które opuściło napięcie.

Za oknami słychać było narastający szum deszczu. Zalewał miasteczko, walił w okryte papą dachy jak o skórę bębna, siekł dokuczliwie, rozdzwaniał okna. Siedzieli już wszyscy za murami i albo spali, albo w oczekiwaniu nagłej „wizyty”, która nawet pod boki komisariatu mogła się odbyć, czuwając brnęli od świtu do świtu.

Jeżewski wetknął Wertepowi w usta do połowy wypalonego papierosa. Ten zaciągnął się nim głęboko i łapczywie.

— Wertep... — zaczął Jeżewski. — Tylko żeby nie było między nami nieporozumień... Na nic nie licz.

Swoje czy tak, czy tak zapłacisz. Nie wiem... powiedzmy, że oddajesz nam przysługę... Będziesz miał sąd.

Powiedzmy, że mógłbym nawet coś powiedzieć w twojej... w twojej obronie. Ale... Malarczuk, to niczego nie zmienia. Za krew drobnymi nie zapłacisz i...

— W porządku, powiedziałem — przerwał mu Wertep. — Jedziemy! Stał ciągle pośrodku ciemnego wnętrza.

Wiatr szarpnął otwartym jeszcze dotąd oknem. Wertep zaciągnął się silniej papierosem, ogieniek oświetlił na moment jego twarz wypraną z jakiegokolwiek wyrazu. I jednocześnie, w ułamek sekundy potem zo-baczyli, jak twarz tę przeszywa ból...

Wertep zachwiał się, papieros wypadł mu z ust. Ciało ciężko zważyło się na podłogę. W piersi tkwił nóż.

Zwyczajny, składany...

Już leżąc na ziemi, złapał obiema rękoma ten nóż. Przez chwilę zdawało się, że chce ucisnąć czyjeś dłonie. Trzymał go długo w zwarciu palców, potem zaczęły się one rozluźniać, wreszcie rozcapierzone osunęły się wolno na podłogę.

Kołodak rzucił się do otwartego okna. Wywalił z pepeszy na oślep w posiekany deszczem mrok. Marian skoczył do drzwi, zatarasował je sobą. W ręku trzymał pistolet wymierzony w resztę znajdującą się w pokoju.

Kołodak posłał jeszcze jedną serię w okno.

— Rzuć broń! — krzyknął Marian.

Już był raz w takiej sytuacji: wszyscy, nawet najbliżsi, podejrzani... Najbliżsi.

Ten, którego uważał za swego przyjaciela, ten właśnie miał mu strzelić z tyłu w plecy.

W pierwszej chwili nie mogli zrozumieć tego rozkazu.

— Pan komendant... — odezwał się Listwa. — Ależ jak tak... pan komendant...

Krawczuk chciał podejść do Mariana:

— Obywatelu poruczni...

— Rzuć broń! — powtórzył Marian i żeby zrozumieli, że nie żartuje, strzelił dwa razy w podłogę.

Zaczęli wypuszczać z rąk broń, z głuchym chrzęstem padała na podłogę.

Jednocześnie usłyszeli z zewnątrz krzyk Sarnickiego:

-- Nie strzelać!... Nie strzelać!...

Jeżewski odbezpieczył swój pistolet i przysunął się do ściany przy oknie.

— Kto? — krzyknął usiłując dostrzec coś w tętniącej od ulewy ciemności.

— Ja... doktor — usłyszał odpowiedź Sarnickiego, który musiał stać gdzieś blisko muru, po drugiej stronie okna.

— Nie ruszać się!

Jeżewski odwrócił się do Mariana.

— Ściągnij go tutaj — powiedział ostrym szeptem.

— I tamtego przy drzwiach też, jeśli jeszcze jest!

Tych ja będę trzymał!

Poprawił nerwowym ruchem okulary i patrząc na resztę rozrzuconą pod ścianami, dodał:

— Widzę was świetnie — wszystkich... Jeden ruch i... i potem będę się zastanawiał, czy miałem rację!...

Marian ostrożnie wysunął się za drzwi. Zaraz potem, wepchnięty, wpadł do pokoju Siarka. Ręce trzymał

wysoko uniesione do góry.

— Poruczniku, dlaczego ja?... Ja? — wykrzykiwał.

— Ty i wszyscy! — odparł Marian.

Powiódł wzrokiem po stojących przy ścianie.

— Ale ja... ja za drzwiami...

— Były uchylone.

Siarce przewieszał się przez ramię kabek, uśmiechnął się głupio, kiedy rzucał go na resztę broni.

Kiedy tylko usłyszeli oddalające się na korytarzu kroki strażnika, przykucnęli nad Łysym, który zaczął

odzyskiwać przytomność. Łysy zauważył z przerażeniem że każdy z nich trzyma w rękach zdjęte z nóg bu-ty. Zakrył ramionami głowę, spodziewając się uderzeń, i nagłymi skurczami ciała wcisnął się w kąt celi.

— No, przyznaj się, robaczku — usłyszał nad sobą głos Hiszpana. — Ty jesteś Grom?...

— Nie, panowie, na litość boską, nie! — krzyknął Łysy i zaraz potem spróbował uśmiechnąć się do nich

przymilnie, blatująco: — Dajcie spokój, panowie! Kradło się tylko, panowie, to i owo... jak była oka-zja... Spokojnie, kochani, ja mam wszystko zamelinowane...

Odsłonił głowę, zamrugał chytrze powiekami.

— Wyjdziemy, możemy się podzielić — szepnął. — A może jakąś wspólną robótkę, co?...

— My swoi, robaczku — zaśmiał się w odpowiedzi Hiszpan. — My naprawdę swoi. Nie udawaj,

robaczkę, nie picuj. Ty jesteś Grom. Takiego jak ty wyczujemy, przez ogień i wodę wyczujemy. Przed nami możesz się przyznać.

Przecież swój swojego nie będzie posyłał „pod stienku”, nie?

Łysy znów zadygotał jak w febrze:

— Panowie mili, panowie!... Ja jak Boga Kocham...

—
Grom! — krzyknął mu w twarz Hiszpan.

—
Grom! — krzyknęła reszta.

I zaczęli uderzać obcasami butów o podłogę. Stukot narastał. Łysy zatkał rękami uszy, skulił się w sobie, przywarł do ściany, jakby chciał w niej zniknąć. Stukot obcasami i krzyk przeszedł w skandowanie.

Trzasnęło zakratowane okienko. Hiszpan chwycił Łysego za kołnierz i wywlócił go na środek celi.

Krzyknął do strażnika:

— Mamy Groma, panie naczelniku! Przyznał się, suki nkot!

Uderzanie butami o podłogę nie ustawało. Skandowali słowo: „Grom” coraz głośniejsze, coraz natarczywiej.

Strażnik zatrzasnął okienko, zaczął biec korytarzem. Dudnienie jego kroków zlało się w jedno z rytmem uderzeń dochodzących z celi.

Strażnik dopadł drzemiącego w końcu korytarza Józka.

— Wstawaj! — potrząsnął nim mocno. — Leć po „Proroka”! Tamte cholery jakoby Groma mają!... Rozumiesz, Groma! Biegnij!

I pchnął na wpół rozbudzonego chłopaka w stronę wyjścia.

Wszystko w tym ciasnym pokoiku jest jakby przypadkowe. Lampa ze stłuczonym kloszem, pochodząca zapewne z jakiegoś mieszczańskiego saloniku, a stojąca teraz na topornym, porysowanym biurku. Dalej szafa trzydrzwiowa z lustrem, wyładowana obecnie aktami sądowymi, które, zdawało się, w każdej chwili mogą runąć na podłogę, polowe łóżko ustawione w rogu pokoju i rozmamłana na nim pościel, zarzucona naprędce kocem, solidny kaflowy piec i łuska po naboju artyleryjskim, w której sterczą ususzone kwiaty.

Prokurator powiatowy Kazimierz Jazgarz, człowiek o niskiej, krępej sylwetce, stał przy biurku w narzu-

conym na ramiona płaszczu wojskowym bez dystynkcji. Jedną ręką mieszał łyżeczką dawno wystygłą herbatę, drugą przyciskał do ucha słuchawkę telefonu. Przymknął opuchnięte powieki, zagryzł wargi. Z natarczywym wśluchiwał się w głos dobiegający z aparatu.

— Słuchajcie, Jeżewski! Halo!... Żle was słyszę!... Co? Dobra, będę mówił głośniejsze!

Upił łyk herbaty i zaczął mówić dobitnie do słuchawki:

— Jeżewski! Ja go muszę mieć! Nie wiem, nic mnie nie obchodzi... Pana Boga. cholera, proście, żeby przeżył! Zawaliliście sprawę! Przecież to się w głowie nie może pomieścić!... Na posterunku, przy was?!...

Słuchajcie. Jeżewski, ja was wszystkich pod sąd!... Wszystkich, wszystkich za to pod klucz!... Ty odpowiadasz, Jeżewski! Marian? Był przy tym? Był! Też!...

Też, mówię! Pod klucz!... Co — z zewnątrz? Musiał

być dobry kozak... Mówię, że trzeba nieźle rzucać, żeby... Nie pieprz, nie pieprz! To któryś z was!... Przestań się, do jasnej cholery, obrażać! Panienska, psia jego... Ojcu, matce nie można

wierzyć, a co dopiero... A ten, jak mu tam, Kóldak?... Że co? A niech was jasny gwint, wy sku... Jak? Trudno.

Sięgnął znowu po herbatę, upił. łyk... Nagle chlusnął nią z wściekłością po podłodze i rąbnął szklanką o ścianę. Krzyknął do telefonu:

— Jeżewski! Posłuchaj, stary... Ten bandzior może być żywy czy umarły...

Słyszysz? Żywy czy umarły!

Ale on musi mi Groma rozpoznać! Co? Nie słyszę!... Co — samochód?...

Coś zaczęło trzeszczeć w słuchawce. Po chwili na krótko znowu usłyszał

Jeżewskiego.

— Janek!... — starał się nadać swojemu głosowi łagodniejsze brzmienie.

—Janek... Mnie nic nie obchodzi, rozumiesz? Ty musisz... Halo, halo!

Janek!...

Uderzył palcami w widełki telefonu, powtórzył jeszcze kilka razy „halo, halo”

i cisnął słuchawkę.

Wściekł się, zaczął chodzić po pokoju, ale tak, że po drodze wszystkie graty leciały na podłogę, książki kopał jak piłki, chciał lampę zmieść jednym zamachem dłoni, lecz w ostatniej chwili się zastanowił...

— No i co ja... No i co ja mam robić? — mówił do siebie. — Niby jest swołocz, nic ma swołoczy!

Chryste Panie, a gdzie ja znajdę taką drugą okazję, żeby tego... tego...

Reszta wyleciała przez otwarte okno jak najcięższy mebel.

— Siedzi, drań, tam między tymi pięcioma!... Jest na pewno między nimi.

jest... Ale kto go wskaże...

Czarna maska, pies go... Znak Zorro?... Tfu, cholera! Douglas Fairbanks, przybywaj!...

Jazgarz nadal długo monologował, uspokoił się wreszcie, zasiadł nad papierami. Siedział z godzinę, nic mu nic dały, cisnął je w kąt. Wciągnął z kabury „zdobyczną” parabelkę, zaczął się nią bawić, podrzucać w dłoni...

Najgorsza jest bezsilność — pomyślał — cholerna bezsilność.

Szarpnął drzwiami do sąsiedniego pokoju.

— Mięta!

Coś się zakotłowało w ciemnym wnętrzu i po chwili w rozjaśnionym lampą prostokącie drzwi stanął

młody, wysoki chłopak w mundurze. Czarną czuprynę miał lśniąca, wypomadowaną brylantyną. W Jazgarza uderzył jej zapach.

— A niech cię!... — skrzywił się. — Śmierdzisz na kilometr! Po diabła się tak pastujesz?

Mięta uśmiechnął się, przeciągnął dłonią po ulizanej brylantyną czuprynie.

— Kiedy chce... — powiedział.

—

Niby kto?

— Niby... — uśmiech Mięty stał się szeroki, jakby ten ktoś. o kim mówił, stał przed jego oczami. — Ni-by ona.

— Ona, tak?

— Ja tam nie wiem, czy chce, ale jej miło...

— Miło?

—

No, elegancja zawsze tam jakaś...

Jazgarz przeciągnął dłonią po od trzech dni nie golonych policzkach.

— Daleko zajedziesz, bracie — uśmiechnął się. — Wiesz, komu co potrzeba.

— Gdyby pan kapitan się nie obraził, to tu jedna taka wdówka... Ona za obywatelem kapitanem niemal oczu nie wypatrzy...

Jazgarz zaśmiał się.

— Co z połączeniem?

—

Melduję, że chyba przerwali!

— Wyobraź sobie, że to samo pomyślałem — zadrwił Jazgarz.

— Prawidłowo, obywatelu kapitanie!

—

Sprawdzić!...

— Ta... jest! — Mięta stuknął obcasami i odwrócił się na pięcie.

Jazgarz sięgnął mechanicznie w to miejsce, gdzie stała przedtem szklanka herbaty. Spostrzegł rozbite szkło na podłodze.

— Mięta!

Plecy Mięty znowu wykonały pełen obrót.

Jazgarz, jakby nie był do końca na coś zdecydowany, popatrzył na niego spode łba. Potarł dłonią zarośnięte policzki.

— Słuchaj, Olek... no... tego — zaczął. — Masz gdzieś w pobliżu tę swoją apteczkę?

Na twarzy Mięty pojawił się pełen szczęścia uśmiech.

— Rozkaz, obywatelu kapitanie!

Sięgnął do kieszeni spodni, które wypychał obły, podłużny kształt. Wyjął z otworu butelki papierowy korek. Jak puchar napełniony najlepszym winem wyciągnął ją do Jazgarza.

Jazgarz zakręcił butelką, aż płyn się z wierzchu zapienił.

— Wiesz, stary... klops jest! — powiedział. — Co się zaceruje — znów się drze! I tak w kółko. Nie wiem już, czyja taki krawiec, czy materiał taki...

Chciał przytknąć butelkę do ust, kiedy na schodach zadudniły kroki.

Po chwili w drzwiach stał Józek.

— Obywatelu kapitanie... — meldował, ciężko

oddychając po biegu. — Grom. obywatelu... Ci, co z nim razem w celi...

odkryli... Odkryli Groma!

Jazgarz odstawił butelkę na biurko, naciągnął szybko na ramiona płaszcz.

— Groma mają, mówisz? — zapytał.

W jego głosie pojawiło się jakby niedowierzanie połączone z ironią. Przez chwilę patrzył na twarz Józka i Mięty i chociaż wiedział, że ich tym badawczym spojrzeniem krzywdzi, nie mógł go w swoich oczach zgasić.

Wmawiał w siebie, że przesadza we wszystkim albo że się boi... Nie bał się nigdy. „Parabelkę”, którą miał przy sobie, zdobył na gestapowcu, chwilę przed rozstrzelaniem... Było ich kilku, złapanych wśród gruzów. Już w ostatniej chwili odwrócił się od muru i powiedział po niemiecku kilka wierszy Geothego.

Niemiec i koszmarny, naprędce uszykowany w ruinach pluton egzekucyjny, znieruchomieli... A on szedł, mówił Geothego, szedł na nich. w każdej chwili oczekując salwy... Chciał zginąć z

wyzwaniem, chciał

umierając kompromitować tych, którzy go jako człowieka dawno przekreślili.

Na trzy metry przed gesta-powcem pomyślał, że nie musi zginąć... Tamten uśmiechał się ciągle i pieścił w dłoni „pa- rabelkę”... Nagle zwałił gestapowca z nóg, przerzucił go na siebie, tak że żołdacy nie mogli strzelać. Zniknęli natychmiast ci ustawieni pod murem. Ściskając za kark gestapowca, osłaniając się nim i jego „parabelką”, wycofał się w ruiny.

— Groma odkryli — mruknął do siebie.

Ruszył do wyjścia.

Jeżewski, po kilkakrotnych próbach ponownego nawiązania łączności z Jazgarzem. odłożył słuchawkę.

Na stole obok telefonu płonęła naftowa lampa. Jej mętne światło rozlewało się po podłodze. Wertep leżał przewrócony na wznak. Klęczał przy nim Sarnicki. Nieco z boku, rzucona na kupę, błyskała w świetle lampy odebrana milicjantom broń. Oni sami stali zbici w grupkę pod jedną ze ścian. Marian z pistoletem w ręku miał ich ciągle na oku. Teraz zauważył, że Jeżewski wkłada swój pistolet do kabury pod połą marynarki.

— Co robisz? — zapytał z niepokojem i wskazał pistoletem grupkę pod ścianą. — To mógł być każdy z nich!...

— Mógł. I na pewno jest — powiedział Jeżewski, a potem machnął z rezygnacją ręką. — Daj spokój!

Od ściany oderwał się Krawczuk:

— Jak Boga kocham, obywatelu poruczniku... Ja... ja... Nas posądzać, obywatelu?... Nas?

— Pod ścianę! — rzucił ostro Marian.

Krawczuk obejrzał się na stojących pod murem.

Wbili wzrok w podłogę. Ciężkie, uparte spojrzenia zdawały się zagłębiać w deski niby gwoździe. Krawczuk pokiwał smutnie głową i wrócił do grupy.

Marian podrzucił na dłoni nóż, który ugodził Wertepa.

— Pytam ostatni raz... Czyj? — podszedł do nich bliżej, nie za blisko jednak, tak, żeby ich ruch móc zawsze uprzedzić strzałem. — Albo inaczej...

postawmy to pytanie. Kto widział u którego ten nóż?

Nie dostrzegał oczu, które skryły się w mroku, ale wyczuwał, że śledzą każdy jego gest, każdy ruch, napięte i drgające jak nerw. Być może od razu zaczął

źle

i stojący przed nim nie mieli nic wspólnego z zamachem na Wertepa. Działać trzeba było błyskawicznie, nie mógł się już wycofać.

Milczeli.

— No? — krzyknął Marian.

Listwa nie wytrzymał:

— My tu byli, a doktor, znaczy, tam... Z nocy przyszedł... Pan komendant do nas, a doktora po głowie głaszcze!... Ciemno było, nie da się zaprzeczyć. Ale my tu wszyscy w izbie... Żeby rzucić, trzeba się za-machnąć. Czyżby ja nie wiedział, jak to się robi? A co, czy to pan komendant by nie dojrzał, choć ciemność, takiego zamachu?

Marian przez chwilę nie odzywał się.

— Racia — powiedział wreszcie i odwrócił spojrzenie od Listwy.

Podszedł szybko do Sarnickiego. Zatrzymał na moment ruch jego rąk opatrujących Wertepa.

Podetknął

mu pod oczy nóż.

— Ty wiesz, że jesteś teraz potrzebny. Ty to dobrze wiesz — wycedził. — No nic! Pomyślmy chwilę razem... Ty jeden nagle, ni stąd, ni zowąd pod tym oknem!... Ciekawe, nie?

Sarnicki wyszarpnął swoją rękę z uchwytu jego dłoni:

— Proszę mi nie przeszkadzać! Co panu się bardziej opłaca: Wsadzić mnie teraz za kraty, czy żeby ten tutaj przetrzymał jeszcze parę godzin? Warto się zastanowić, co? A teraz proszę odejść!...

Marianem wstrząsnął ton jego głosu. Przestał panować nad sobą. Ta godzina, która minęła, od chwili, kiedy Wertep runął na podłogę, ta ciężka, pełna domysłów i napięcia godzina wytrąciła go z równowagi.

— Sarnicki... Sarnicki... Ty nie skacz!... — wyrzucił z siebie grożąc tamtemu pistoletem. — Ty mi tu lepiej nie podskakuj!...

— Marian! — przywołał go do porządku Jeżewski.

Marian przeżuł w ustach jakieś przekleństwo i oddalił się do okna. Sarnicki podniósł się z podłogi, za-czał

wycierać chusteczką pomazane krwią Wertepa ręce. Drżały mu lekko, twarz także wyrażała zdenerwowanie.

— Mówiłem przecież... — starał się zachować spokój. — Mówiłem, że szedłem do telefonu. Kończą mi się leki, a tych, których, nie daj Boże mogę potrzebować, nie mam wcale!... Przywieziono mi dzisiaj dwóch chorych...

Jeżeli... Nie wiem, obym się mylił!...

Jeżewskiego jego słowa zaniepokoiły. Wyczuł napiętą uwagę reszty.

— Obym się mylił— powtórzył Sarnicki.

— Co? — Jeżewski odciągnął go na bok. — Mów!...

Sarnicki spojrział na niego zimno i potem wzrok przeniósł na stojących pod ścianą.

— Nic — powiedział. — I niech pana to na razie przestanie obchodzić!

— Przestań się z nim cackać! — rzucił w stronę Jeżewskiego Marian. — Był pod oknem, kiedy Kołdak rąbnął z pepeszy!... Widziałeś go, Kołdak?

— Nie — Kołdak pokręcił przecząco swoją kudłatą głową. — Nikogo nie było widać.

Marian zmieszał się. Znowu zapadło milczenie. Marian przemierzył pokój kilka razy, widać było, że zbiera coś w myślach do kupy, kojarzy jakieś fakty.

Ciągle jeszcze ścisnął w reku pistolet. Nagle

zatrzymał

się.

— Dobra. A więc wszyscy, każdy z nas mógł to zrobić! Wspaniale.

Zbliżył się do grupy pod ścianą, stanął na wprost Krawczuka.

— Krawczuk!... Kto doniósł — to było jakieś trzy miesiące temu, że doktor opatrywał...

— Jak panu nie wstyd! — krzyknął Sarnicki.

— Wstyd?... — Marian omal nie zaśmiał się histerycznie.

Szarpnął na sobie mundur, odsłonił gołe ciało. Na jego piersiach koślawo, bliznami, „wryty” był jeden napis — Grom.

— Ty mi mówisz o wstydzie?! — zapytał rozdygotanymi ustami.

I rzucił Sarnickiemu pod nogi otwarty portfel. Wyleciały z niego jakieś pożółkłe fotografie. W słabym świetle lampy można było na jednej z nich dojrzeć kobietę i najwyżej 6-letniego chłopca. Za

nimi ciągnęły się rzędy drzew wiśni, okryte białym kwiatem. Chłopiec siedział na uwiązanej do jakiegoś konara huśtawce, kobieta, drobna i smukła, stała tuż przy nim, jedną ręką trzymając się linki huśtawki, drugą gładząc małego po krótkiej czuprynce. Uśmiechali się oboje do obiektywu.

— Może i za nich mam się wstydzić, co? — oczy Mariana zmatowiały. — A jeśli ten, którego tak ratowałeś... Jeśli to właśnie ten drań ich...

— Dostyc! — przerwał Jeżewski.

Schylił się, podniósł z podłogi portfel i rozrzucone zdjęcia.

I znów zapadło między nimi milczenie, ciężkie i przeżerające twarze. Z zewnątrz dochodziły ciągle odgłosy ulewy. Marian oparł się plecami o ścianę, zamknął oczy. Powoli wszystko w nim zamierało. Nagle zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku coś, co go najmniej w tym momencie obchodzi — pistolet.

Cisnął go między resztę złożonej broni.

— W porządku — wycedził przez zęby — racja, niby dlaczego ja nie mam być podejrzany?... Wszyscy jedziemy na tym samym wózku — prawda, Jeżewski?

Tamten wzruszył w odpowiedzi ramionami.

Sarnicki zbliżył się do Mariana.

— Przepraszam — szepnął.

— To ja... ja powinienem przeprosić — powiedział nie patrząc na niego Marian. — Wybacz pan, nigdy nie umiałem się... wy to nazywacie: znaleźć się... — chciał jeszcze dodać coś w tym rodzaju, ale w końcu machnął ręką:

— A, cholera!

To byt znak, że powoli przychodził do siebie.

— Niech pan posłucha... — rzekł Sarnicki. — Ja ten nóż wyjmowałem i...

— Będzie żył? — przerwał mu Marian.

— Ja ten nóż wyjmowałem — ciągnął tamten — nie znam się na... No, na kryminalistyce. Wprawdzie przed wojną odbywaliśmy na studiach takie ćwiczenia... Mogę się mylić...

— Mówi pan „kryminalistyka” — uśmiechnął się Jeżewski. — I „mogę się mylić”!... A kto z nas zna się tak naprawdę na tej kryminalistyce? Ja? Czy może on albo tamci?... Panie, tu nie ma... fachowców! Robimy to co robimy, bo tak trzeba i nikt za nas tego nie załatwi.

— Tak, tak, rozumiem...

— A ktoś to załatwić musi!...

— To?

Mogło się wydawać, że doktor nie wie, o co tamtemu chodzi. Jeżewski zacisnął dłonie na skroniach, jakby chciał stłumić narastający w nich łomot.

— Przecież pan doskonale wie — odezwał się po chwili — co ja mam na myśli... Wyjeżdża pan prawie codziennie w teren. Na dziesięć wezwań może zaledwie jedno dotyczy zapalenia płuc czy bólów żołądka, czy jeszcze tam czegoś! A najwięcej miejsca w pana apteczce zaimuia bandaże... I to jest właśnie

nasze, pana „to”!...

— Jestem tylko lekarzem.

— Tylko lekarzem, co? I nic więcej? Leczy pan, opatruje, a kto panu dostarcza w nadmiarze... pacjentów, to już nie pańska sprawa. Można powiedzieć, że nawet ładnie się pan urządził: „Ja wyjmuję tylko kulki, a inni niech się pod nie podstawiają”. I oczywiście jak długo to jeszcze będzie trwało, to także nie pański interes...

— Proszę mnie nie obrażać! Ja także ryzykuję...

Jeżewski wciągnął głęboko powietrze, czuł, że posunął się trochę za daleko.

— No... spokój — powiedział do siebie. — Tak jest, spokój.

Sarnicki milczał przez chwilę, a potem ściszej głoś tak, że poza Marianem i Jeżewskim nikt nie mógł

go słyszeć, zaczął:

— Ja myślę, że ten nóż był rzucony z małej odległości. Usiłowałem sobie przeliczyć to wszystko w pa-mięci i... To nie mogło wynosić więcej niż cztery, pięć metrów. Oczywiście nie jestem pewny... i nie mówię tego, żeby siebie wyłączyć z kręgu podejrzanych...

— Podejrzanych! — Jeżewski już chciał się roześmiać. — Mam tylko...

„podejrzanych"! I tak się,

psiakrew, cudownie złożyło, że nimi muszę wykonać tę robotę!

Trącił dłonią telefon.

— Sam jestem podejrzany! Słyszeliście przecież? Towarzysz Jazgarz i mnie wpisał na tę listę!...

— Przestań! — Tym razem Marian przywoływał do porządku Jeżewskiego.

Potem zwrócił się do doktora:

— Na co można liczyć?

Wertep z opatrzoną raną na piersi ciągle jeszcze leżał nieruchomo na podłodze.

— Na niewiele — odpowiedział Sarnicki.

— Dwie, trzy... cztery godziny? — dopytywał się gorączkowo Marian. —

Godzina?...

Sarnicki nie umiał odpowiedzieć.

Jeżewski spojrzał na tamtych pod ścianą. Słyszeli pytania Mariana. Oderwali wzrok od leżącego na środku Wertepa. Jeżewski podszedł do nich bliżej. Ich oczy starły się z jego oczami, wyzierającymi poprzez szkła okularów jak dwa opalizujące kamienie.

— Słyszeliście? wskazał ruchem głowy leżącego. — Nie ma czasu, żeby się do was dobrać!...

— A do was? — wybuchnął Kołdak.

Jeżewski odczekał chwilę.

— Właściwie masz rację — powiedział już

spokojniejszym głosem. — Do nas też! Do mnie. do po-rucznika... Przecież wszyscy tu byliśmy. Masz rację. No, to spróbujmy!... Spróbujmy się nawzajem do siebie dobrać. Może nam coś z tego wyjdzie!...

— Wyjdzie — jeszcze jeden... taki!... — odezwał się Listwa i jego oczy znowu ześliznęły się na Wertepa.

— Tak... — powiedział przeciągle Jeżewski i zaraz potem dokończył szybko:

— No, to spróbujmy! Gaśmy światło!... A w ciemności ten, który to zrobił, grzecznie opuści lokal i znów będziemy jak w rodzinie sami swoi!... Wszystko zostanie w rodzinie!

— Tak czy owak, musi — rzucił szybko Marian i dodał. — Na razie!

Musieli wyczuć w ich słowach gorycz, bo jeszcze bardziej zbili się w grupkę i opuścili niżej głowy. Ruszył ku nim Marian. Idąc o mało nie przestąpił przez Wertepa, wstrzymał się w ostatniej chwili. Stał przed Krawczukiem i zdecydowanym ruchem uniósł mu pięścią głowę do góry.

— Jak tam ten twój grat? — zapytał. — Dowiesz?

— Może — burknął Krawczuk.

— Ty, ty, ty!... Dowiesz, pytam?

— Benzyny mało... Do Strzekocian pewnie nie starczy...

— To z własnego pęcherza dolejesz, kiedy zabraknie!

I na tym się ta rozmowa między nim a Krawczukiem skończyła. Wszystko było jasne, muszą jechać.

Muszą jechać i Wertep musi, żywy czy umarły, rozpoznać • wśród tamtych pięciu Groma. Dla Mariana stało się to w tym momencie tak oczywiste jak fakt, że dotąd jeszcze żyje. Żyje pomimo wszystko, a przecież dziesiątki razy bywało tak, że myślał, iż nie ma żadnych już szans i że to życie na dwudziestu sześciu latach skończy mu się równie gwałtownie jak moment, w którym zaczął dopiero je smakować. Przysłowie mówi, że tylko „w kuźni urodzony”

może być spokojny o swoją głowę. Kłamało coś przysłowie, niedokładna była ta przepowiednia.

W kuźni się nie urodził, a przecież gdyby zliczyć, z ilu beznadziejnych sytuacji wychodził

cało, a czasem nawet obronną ręką. trzeba by pozbyć się najmniejszej choćby wiary we wszystkie przysłowia razem wzięte. Więc zaczął traktować to swoje życie jak coś oczywistego, jak coś, co nie może mu się wymknąć, prześliznąć między palcami, rozpląnąć wraz z uderzeniem nieprzewidzianej kuli.

Nie zauważył i nikt z nich nie spostrzegł, kiedy w drzwiach stanęła Irka.

Deszcz upiął ciasno wokół jej twarzy czarne, wijące się włosy, zwilżył delikatnie zarysowaną twarz, a szczególnie usta, ciężkie i jakby obrzmiałe.

Stała cicho, oparta o framugę drzwi, nie

spuszczała niespokojnych oczu z Mariana. Wydawało jej się, że znowu widzi go po raz ostatni.

Nie umiała tego w sobie zwalczyć, dręczyło ją to, ale nic przestawało opuszczać. Był jej tak samo ogromnie potrzebny, jak i ona jemu.

Starła się ze wszystkich sił zastąpić mu zamordowaną pierwszą żonę i i dziecko. Nic była pewna, czy potrafi, i ta niepewność, podobnie jak lęk o niego, były powodem jej częstych załamaniań...

Marian działał dalej.

— Listwa!... Bierzkonia!

— Pan komendant ufność ma?... — uśmiechnął się Listwa.

— Bierz konia, mówię, i pędź do Strzekocian! Powiedz, niech wyślą coś naprzeciw. Będziemy jechali drogą na...

Urwał, odciągnął Listwę na bok i resztę wyszeptał mu do ucha. Kołdak.

widząc ten manewr Mariana, wzruszył ramionami, i poskrobał się w kudłatą głowę.

Marian klepnął Listwę w plecy:

— Cywilne ciuchy na grzbiet i jazda!

Listwa chciał już ruszyć do wyjścia, ale coś go zatrzymało.

— Panie komendancie — zwrócił się do Mariana i zaraz zawahał się.

— Co jest?

— Ja bym chciał... — Listwa pokazał rękami kształt karabinu. — Tak może wy by mnie oddali moją pepeszkę?..,

— Pepeszka do niczego, kiedy po cywilnemu masz jechać odezwał się Jeżewski.

Wyjął z kabury swój pistolet i rzucił go Listwie.

— Trzymaj!

Listwa złapał pistolet w locie. Złapał go tak, że dłoń od razu zacisnęła się na rękojeści, a lufa została wymierzona w Jeżewskiego i Mariana. Był to czysty przypadek, ale reakcja Mariana była natychmiastowa.

Rzucił się na podłogę w miejscu, gdzie leżała złożona broń i w jego rękach błyskawicznie znalazła się pepesza.

Listwa opuścił pistolet i parsknął krótkim śmiechem:

— Pak i ciągle nie wierzycie, ech!...

— Zjeżdżaj! — rzucił Marian, podnosząc się z podłogi.

Poczuł się trochę głupio, tak jakby wykonał przed chwilą wspaniałe kaskaderskie salto i okazało się potem, że tego numeru zapomniano sfilmować albo też taśma szła przy zakrytym obiektywie kamery.

Listwa wyszedł.

Marian dopiero teraz zauważył Irkę. Widząc poprzednią scenę nie wytrzymała, oderwała się od drzwi, jakby chciała zapobiec nieszczęściu.

Teraz, zatrzymana w pół ruchu, odgarniała spłoszoną dłonią lepiące się do czoła włosy.

— Irka?... — zdziwił się Marian. — Co ty tu robisz? Co się stało?...

— Nic... — zaczęła niepewnie. — Tylko że strzały słyszałam i...

Marian poczuł się trochę niezręcznie. Podeszedł do Irki, odciągnął ją na bok i zaczął tłumaczyć się szeptem:

— Iruś... nic się nie stało. Naprawdę nic, zupełnie... Idź do domu. Ja zaraz, ja niedługo przyjdę. Te strzały to... No, Kołodakowi pepesza przypadkowo wywaliła... Wiesz, broń raz do roku sama strzela...

Spróbował swoje zmieszanie pokryć uśmiechem.

— Nie zabezpieczył i stąd to całe zamieszanie... Idź, Iruś, idź...

Widziała kłamstwo na jego twarzy, widziała przecież Wertepa i przeciekające krwią bandaż na jego piersi. Odwróciła się, chciała bez słowa wyjść. Marian złapał ją za drzwi...

— Iruś!...

Przytuliła się do niego gwałtownie. Marian słyszał jej cichy i iakby na siłę powstrzymywany płacz. Nie znosił

tych scen, nie umiał się w nich znaleźć zresztą, nigdy nie umiał postępować z kobietami. Jeśli kochał, to starał się, aby to uczucie nie objawiało się w sentymentalnych, zewnętrznych formach. Zdawał sobie sprawę, że kobiety tego potrzebują, nie zawsze jednak mógł się przemóc... W wyjątkowych tylko chwilach, może właśnie takich jak ta, zdobywał się na kilka ciepłych, niemal pieśzcotliwych słów, które w istocie stanowił/1 rzeczywiście odbicie tego, co naprawdę czuje.

— Iruś, proszę cię, przestań — jego dłoń dotknęła mokrych, wijących się włosów dziewczyny. — No dlaczego, dlaczego, nie wolno płakać, Iruś...

— Co ty robisz, co ty robisz?!...

—
Nie rozumiem...

—
Dlaczego mnie okłamujesz?

— Ależ skąd!... — czuł, że coraz trudniej będzie mu brnąć dalej w kłamstwach. — Mówię ci. Kołodakowi pepesza...

Oderwała się od niego.

— Przestań! Przecież widziałam tego... tego... na podłodze! Jeżeli mam się bać, jeśli codziennie się bo-ję, to chcę, to muszę wiedzieć, dlaczego!

Wychodzisz o świcie, zostawiasz przy mnie ciepłe miejsce, jeszcze nagrzane miejsce na pościeli... I wiesz co to jest? Wiesz, co zostawiasz? Lęk! Ja z nim mieszkam, z nim rozmawiam... i tak po całych dniach!... Jakieś strzały, ktoś pędzi przez rynek — lęk! Mnoży się... Jest stałym lokatorem w naszym domu.

I tych lokatorów... Tych lokatorów przybywa coraz więcej... W naszym domu już robi się ciasno, tłok...

— Irena, już niedługo to wszystko...

— Niedługo! Przestałam liczyć godziny, dni... Widzę tylko ten tłum, ten tłum nieproszonych lokatorów w moim domu!

Jeszcze raz spróbował rozładować sytuację:

— Nie bój się, damy im wymówienie. Przepędzimy ich!... Iruś, a na ich miejsce weźmiemy takiego małego, wrzeszczącego na całe gardło lokatora, który...

— Marian... — przerwała mu — po co, po co to mówisz? Przecież sam w to nie wierzysz.

— Wierzę. Naprawdę w to wierzę — powiedział po chwili. — Irena, przecież tak musi kiedyś być!...

Musi!...

— Tak ci się tylko zdaje.

— I to wystarczy.

Potrząsnęła smutno głową.

— Tobie może tak, ale nie mnie.

—

Trudno.

— Tylko tyle masz do powiedzenia, prawda? Zastanawiam się często, na co ja ci jestem właściwie po-trzebna...

— Nie opowiadaj głupstw! — przerwał ostro.

— Wydaje mi się niekiedy, że ty to wszystko po prostu... — szukała odpowiedniego słowa — po prostu lubisz! Ze czujesz się w tym wszystkim jak ryba w wodzie...

— I naturalnie jak ryba bez wody tak ja nie wyobrażam sobie bez tego życia!

Uchylił drzwi, zajrzał do pokoju. Jeżewski dał mu niecierpliwy znak ręką, żeby wracał.

— Idź już, Iruś — powiedział ciepło. — Wrócę... Postaram się wrócić na kolację.

— „Postaram się wrócić” — powtórzyła ze smutnym uśmiechem nagle znowu objęła go mocno, przycisnęła głowę do jego piersi. — Nie, nie, Marian! Ja nie chcę!... Powiedz mi, błagam, powiedz, co tu się stało!

Niech choć raz wiem „co”, „dlaczego”! Niech wiem, za jaką cenę...

— Daj spokój, Iruś, daj już spokój...

Odchyliła głowę, spojrzała na niego załzawionymi oczami:

— Może ja też... No, może mogłabym w czymś pomóc... Powiedz, proszę!

To... dla mnie ważne!

Chwilę się wahał.

— Widzisz... — zaczął. — Mamy taki... Taki nieprzewidziany kłopot...

Tymczasem w pokoju Jeżewski rozładowywał leżącą na podłodze broń.

Magazynek odkładał na stół, kabek Krawczuka i pepeszę Kołdaka oddał im do rąk. Sarnicki klęczał przy Wertepie i przygotowywał dla niego zastrzyk.

— Kołdak i Krawczuk do szoferki! — zaczął wydawać polecenia Jeżewski. —

Doktor bez broni. Magazynek będzie miał Marian. Odda je wam, gdy zajdzie potrzeba. Będzie wraz z Wertepem i doktorem na platformie i nie spuści z was oka. Przez okienko wszystko zobaczy, każdy podejrzanym ruch... Znać go, w razie czego nie będzie się długo namyślał!... Który nie wierzy, niech przypomni sobie historię z młodym Roma-niukiem. Tamten też chciał się zabawić w niedowiarka, no i... nic wyszło mu to na zdrowie.

— Romaniuk to było draństwo — zaczął Krawczuk.

— A my?... Prędzej bym się spodziewał, że ojcem w trzy tygodnie zostanę niż tego, że bym miał

być posądzony...

— Byłeś tutaj, widziałeś wszystko — natarł Jeżewski.

—

Byłem i widziałem... I co?

— Nic, tylko przydałaby się wam umiejętność wyciągania wniosków.

— Mnie się widzi — Kołdak rozjarzył wargi skrzętem

— że tu każdy już dla siebie wnioski wyciągnął.

— A więc co?

— Nic. zobaczy się... w praktyce.

— W praktyce — powtórzył Jeżewski. — O to właśnie chodzi, że zobaczy się dopiero, jak to mówisz, w praktyce. Zresztą słusznie, zaklinać się o swojej niewinności każdy potrafi.

— Ale nie każdemu się wierzy — burknął Siarka.

— Trafiłeś w dziesiątkę, synu — odparł Jeżewski.

Przypalił od Kołdaka papierosa, zaciągnął się, wypuścił kłęb dymu.

— No cóż... Zamiast błogosławieństwa na drogę: powiem wam tylko, że ten, który załatwił Wertepa...

Bo to jest, to musi być któryś z wasi... Nie patrz tak na mnie, Kołdak, ty, Siarka, też!... Ja go prędzej czy później, ja go...

Zacisnął pięści, jakby reszta słów w goście tym się miała streścić.

— Dobra! — kończył. — Nie jest wykluczone, że mogli przygotować parę niespodzianek. Najgorszy ten lasek na dwudziestym kilometrze. Oni muszą, cholera, coś wiedzieć!... No co, chłopaki? Wierzę, przysięgam, że wierzę — spotkamy się. i... i będzie dobrze. Trzeba sobie tylko powiedzieć, a właściwie przy-pomnieć, że byliśmy już w gorszych opałach i zawsze znajdowało się jakieś wyjście. Grunt to nie upadać, że lak powiem, na duchu.

A jak leczyć strach to już lepiej ode mnie wiecie, nie potrzebuję was podksztalcać.

— Samogonką najlepiej — mruknął Siarka.

Jeżewski spróbował się roześmiać.

Kołdak zapatrzył się tępo w swoją pepeszę, obracał ją w rękach jak jakiś obcy przedmiot.

— To co — spytał — my już niewinni?...

— Nie wiem — powiedział Jeżewski po pauzie.

Kołdak zaśmiał się ochryple, zerknął na Siarkę. Potem zarzucił na ramię pepeszę, jakby miał zamiar ruszyć do drzwi.

—

Niewinni!... — zamruczał. — Jednego „niewinnego” już żeście wypuścili.

A on tam może teraz... A dużo wywiecie o takim Listwie? Jeremiasz, pocziwi na!... Taki, co z wyglądu pocziwy, to czasem najgor-sza cholera. Konia dostał, nagan do łapy wziął i pewnie do Strzekocian w te pędy ruszył, co? A jak nie, jak już uwiadomił swoich...

— Jakich tam swoich? — wykrzyknął Krawczuk.

— Nie wiem — rzekł twardo Jeżewski. — Ryzykuję. Muszę ryzykować.

W drzwiach stanął Marian, za nim Irka.

— Janek — zwrócił się porucznik do Je- zewskiego i objął ramieniem Irkę. —

Ona dobrze wymyśliła!...

Jej ojciec miał jutro wieść jabłka na targ do Strzekocian.

— Tak. jutro targ w Strzekocianach — powiedziała Irka.

— Janek... — Marian był wyraźnie zadowolony z pomysłu Irki. — Jak myślisz, nadaję się na

handlarza jabłek?

Chłopak o oczach pozbawionych prawie rzes spojrzał w tym momencie na Irkę. Spojrzał tak, jakby mu się ta dziewczyna nagle spodobała...

Jazgarz szedł szybko więziennym korytarzem. Za nim, wydłużając krok, podążał Józek, przerzucona przez ramię pepesza objęła mu plecy. Doszli do celu. Strażnik uderzył służbowo dłonią w daszek czapki.

— Obywatelu... — zaczął.

—

Otwieraj! — machnął niecierpliwie ręką Jazgarz.

Strażnik jeszcze raz uderzył dłonią w dach. W zdenerwowaniu palce zaplątały mu się w pęk kluczy, ledwo wysupłał właściwy.

Nic w wyrazie twarzy Jazgarza nie zdradzało postanowienia, które powziął, udając się do więzienia. By

ła to twarz nie- poruszona, spięta zaciśniętymi szczękami. Zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką na siebie bierze, z charakteru tej odpowiedzialności. Miał przed sobą cel, wyraźny cel. Nie uznawał pół-

środków. Ten cel chciał i musiał osiągnąć jak najszybciej.

Strażnik otworzył drzwi celi i zostawił je uchylone. Józek ściągnął z ramienia pepeszę i stanął tak, żeby widzieć to słabo oświetlone wnętrze z pokurczonymi sylwetkami tamtych pięciu.

Jazgarz przekroczył próg celi.

— Zamknij! — rozkazał strażnikowi.

— Niby drzwi?... — nie zrozumiał strażnik.

— A co, wrota od stodoły?

— Może by obywatel kapitan wziął to... — strażnik zaczął odpinać kaburę. —

Same bandziory przecież tu siedzą, różności się po nich można spodziewać...

Jak im już wszystko jedno, to gotowi się jeszcze rzucić na obywatela...

— Rób, co mówię!

Strażnik wykonał polecenie i zaraz potem otworzył zakratowane okienko, zaglądając do środka.

Jazgarz odwrócił się gwałtownie w jego stronę:

— To gówno też zamykaj!

Okienko zatrzasnęło się.

Jazgarz, jakby mu się zrobiło nagle za gorąco, zaczął wolno rozpinąć szynel.

Tamci nie poruszeni siedzieli w kucki pod ścianami, Łysy tylko naciągnął na głowę marynarkę, jakby za chwilę spodziewał się następnych ciosów.

Pozostała czwórka trzymała jeszcze w rękach buty.

Hiszpan uśmiechnął się cwaniacko i obrócił w rękach swój but, niby sprawdzając, czy zelówka jest cała, nie zdarta.

— Dziurawe? — odezwał się Jazgarz, patrząc na Hiszpana. — Mogę ci je podzelować.

Hiszpan, jak gdyby to była chusteczka do nosa, upuścił swój but na podłogę.

Jazgarz wyjął papierosa, strzyknął płomień zapalniczki. Zaciągnął się porządnie, do dna, ostentacyjnie.

— My byśmy też zapalili — mruknął Hiszpan.

—

Ciekawe! — uśmiechnął się Jazgarz.

Przyjrzał się każdej twarzy z osobna,

długo zatrzymywał na nich spojrzenie. Od pierwszego przesłuchania minęły trzy doby. Odtwarzał teraz w sobie tamten dzień, kiedy postawiono ich przed nim i kiedy błądząc między zaciętym milczeniem jednych a cwaniackim zgrywaniem się

drugich, próbował przedrzeć się, wytropić w ich rysach to, co mogło się skła-dać na Groma. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, jak mylne są tego typu intuicyjne zabiegi. Wyłuskać teraz jak ze strąka z tej piątki Groma, było równie trudne, co w dwa dni oczyścić teren całego województwa ze wszystkich grasujących po nim band. Niejednokrotnie już próbował działać

„na ślepo”, trzymając się jedy-nie strzępu jakiejś informacji, szczegółu, który dla innych nie stanowiłby podstawy do żadnej akcji.

Kiedyś, wiedząc tylko, że miejscowy watażka wysyła na pogrzeby swoich ofiar Wiązanki z pokrzyw, zdecydował się na akcję, którą można by określić nawet mianem... głupiej. Nie obyło się przy tym bez drwin i docinków, śmiano się, że wypali ten wrzód, jakim jest banda watażki, pokrzywami. Otóż nakazał

swoim ludziom, by uważali, gdzie przy zagrodach, na poboczach dróg wycinane jest zielsko, które nie odrastało tak szybko, jak szybko mnożyły się pogrzeby. Notował skrzętnie każdy „łysy” kawałek ziemi. Ta absurdałna z pozoru akcja przyniosła jednak rezultaty. W jednej z gmin młody milicjant, który miał opisany każdy skra-wek gruntu, gdzie pieniały się pokrzywy, natrafił na świeżą wycinkę. Nazajutrz w sąsiedniej gminie miał się odbyć pogrzeb. Błyskawiczna akcja objęła obie gminy. Wiązanka z pokrzyw znalazła się na grobie, ale na grobie tym razem watażki. Jazgarz położył ją na nim własnoręcznie.

Stał teraz, opierając się plecami o zamknięte drzwi, wrastał powoli w to miejsce, dostrajał do tej wypełnionej zaduchem nory każdy swój nerw.

— Grom — powiedział cicho.

Hiszpan splunął w stronę Łysego. Jazgarz pochylił się nad nim.

— To ty jesteś podobno ten Grom? — zapytał tak, jakby tu chodziło o towarzyską pogawędkę.

Łysy przypadł mu do nóg, objął je, na skroniach pojawiły mu się ciężkie krople potu.

— Panie naczelniku jedyny! — zawył. — Jaw życiu... Co mnie Gromy — nie Gromy!? Co ja mam do tego?!... Niech mnie pan stąd zabierze, panie naczelniku kochany!...

Pozostała czwórka zaczęła łomotać butami o podłogę. I znowu rozniosło się po celi i korytarzach skan-dowane głośno: Grom... Grom...

Łysy zaszył się ponownie w swoim kącie, zatkał uszy rękami, wtulił w ramiona głowę.

— Przed nami się przyznał, panie władzo — zarechotał Hiszpan. — Teraz, bandyta, udaje!;

Jazgarz zerwał naraz z siebie szynel i tym szynelem

— jak biczem — jednym błyskawicznym ruchem wytrącił tamtym z rąk buty.

Zapanowała nagła cisza. Tylko w ich oczach coś zadrgało teraz, przyczaiło się... Coś, czego nie byli już w stanie ukryć nienawiść. Przypomniawszy sobie naraz, ile go na początku kosztowały takie spojrzenia, jak musiał się do nich przyzwyczajać i z wielkim trudem wyrabiać w sobie wobec nich obojętność.

Właśnie obojętność to była jedyna metoda, powstrzymywała od nie przemyślanych i spontanicznych reakcji, wyrabiała dystans do sprawy, do ludzi, którzy przed nim stawali. Nie od razu była rzeczywista, autentyczna. W

pierw-szych tygodniach grał tylko, udawał przed nimi, starał się usilnie, by przylepiona szczelnie do twarzy maska nic spadła... Bywały chwile, kiedy mogło to już nastąpić, kiedy te przetrawione na wpół strachem, na wpół

nienawiścią spojrzenia wślizgiwały się tak natarczywie pod „jego maskę”, że niemal fizycznie czuł

ich dotyk. Chciało mu się krzyczeć: „Do diabła z tym wszystkim, co ja mam udawać?! Co ja tu mam udawać?!...” I już był o krok od rezygnacji. W ostatniej chwili uświadamiał sobie, że jeżeli podda się tej ze-wnętrznej presji, nie uda mu się nigdy zająrzeć za skórę tym ludziom.

Jazgarz odczekał jeszcze moment, potem jakby ich przeliczał, wskazując palcem każdego, powiedział:

-- Obiecuję wam... wy, wy pięciu... Wy wszyscy kandydaci do „czapy”! I będziecie ją mieli wszyscy!

Powieszę wszystkich pięciu, ale będę spał spokojnie

— Grom wisi!

Hiszpan poderwał się na nogi.

— Nie wolno ci! — krzyknął. — Nie odważysz się!... I w ogóle te strachy to...

Dostał w tej samej chwili od Jazgarza w szczękę. Zachwiał się, ale nie upadł, zacisnął pięści. Twarz mu wykrzywił grymas, oczy stały się jak dwie rozerwane nagle szramy.

Jazgarz otworzył drzwi celi.

— Klucze! — krzyknął do strażnika.

Strażnik nie zrozumiał, o co mu chodzi. Jazgarz wyrwał mu klucze z rąk.

Zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął je od wewnątrz. Klucze rzucił tamtym pod nogi.

Podnieśli się z miejsc, wyczekiwali...

Jazgarz chwycił jeden z butów i stłukł nim przez odrutowanie żarówkę.

Ich oczy powoli przyzwyczyły się do ciemności. Powoli wyodrębniały z niej zarysy postaci, które stały się w tym momencie jakby anonimowe, zatarte, przynależne do mroku i jego praw.

Usłyszeli śmiech Jazgarza. Prowokujący, ale jednocześnie sztuczny:

— Każdy będzie wisiał! To wszystko, co mogę dla was zrobić! No?... Jazda!

Co macie do stracenia?...

Powtarzam każdy z was zadynda! No, jazda, gnoje! Który pierwszy?!...

Nie czekał dłużej, uderzył pięścią najbliższą, wyrzynającą się z mroku postać.

Korytarz przed celą. Zza okutych blachą drzwi dochodzą tu odgłosy bójki.

Uderzenia, jęki, charczenia, przekleństwa, krzyki. Co i raz słyhać, jak jakieś ciało wali się na podłogę, jak czyjaś głowa trzaska o mur, jak pięść z głuchym chlupotem zderza się z czymś ciałem.

Wołania: „Chryste Panie! Jezu!...”

splatają się z przekleństwami, chroboczą jak tarte o siebie kamienie. Od czasu do czasu łomot o blachę drzwi rozlega się tak donośnie, że zdaje się długo jeszcze pędzić korytarzami więzienia, obijać o ściany i niby rykoszetem odzywać w pozostałych celach. Z tego kłębowiska głosów i jęków ani razu nie wyrywa się krzyk Jazgarza.

Strażnik patrzy nieprzytomnie na Józka. Złapał się za głowę:

— Co on, u Boga Ojca. wyprawia?... Józiek, co mu do łba strzeliło?

— Po coście te klucze...

— Wyrwał! Sam widziałeś! Wyrwał!... O rany, utłuką go tam na amen!

Józiek! Ty biegnij, wołaj naczelnika! Co robić, Józiek?

— Gadanie! Nim ja naczelnika zawołam, to

„proroka” już z obcasów będą zbierać! Odstąpcie się!...

— Ot, „prorok”!... Mamy my „proroka”, co?

Józek odsunął go od drzwi. Zarepetował pepeszę, stanął z boku pod odpowiednim kątem i wywalił całą serię w zamek.

Wewnątrz celi wszystko zamarło.

Spróbowali wyważyć drzwi. Zrobiła się szpara, Józek powiększył ją kolbą pepeszy. Wreszcie drzwi puściły.

W progu stał Jazgarz. Ocierał rozbitą dłonią rozcięte usta. Tamci w głębi celi zastygli, porozrzucani pod ścianami. Jeden z nich, trzymając się za brzuch, zaczął podnosić się z podłogi. Zaraz opadł na nią z powrotem i zwinął się w kłębek.

Jazgarz spojrział wściekle na Józka:

— Dureń! Nic, tylko dureń!

— Ja, obywatelu... — chłopak zupełnie zbaraniał. — Przecież was tam...

Jazgarz, powłócząc nogami, wyszedł na korytarz, kopnął za sobą drzwi.

Odszedł kilka kroków w głąb korytarza, zachwiał się i przysiadł pod ścianą.

Wyciągnął papierosa i skrzywił się, kiedy go włożył w rozbite wargi. Józek pośpieszył z ogniem...

— Żadnego pomysłu, nic... — szepnął Jazgarz.

— A niech was jasna... dobroczyńcy!

— Ja przepraszam... — bąknął Józek — ja, obywatelu...

— Siadaj!

Jazgarz ściągnął go ręką na posadzkę obok siebie i podał drugiego papierosa.

Przy drzwiach celi został

strażnik. Wyjął z kabury pistolet, trzymał go wymierzony w szparę nie mogących się domknąć drzwi.

— Trzeba by ich do innej celi — powiedział do strażnika Jazgarz.

— Ta była dobra — burknął strażnik.

— Znajdź im lepszą. Ta była za mało przestronna jak na ich wymagania!...

Dlatego się tak awanturowali — uśmiechnął się szyderczo. — Znajdź im taką, gdzie by mieli dużo słońca, lubią się przed południem trochę poopalać... A może masz tu jaką z ogródkiem, to sobie w wolnych od rozmyślań chwilach podłubią w ziemi...

Zaciągnął się papierosem, wziął głęboki oddech.

— Nie gniewaj się — powiedział cicho, zmęczonym głosem, do Józka: —

Widzisz... Widzisz, ja muszę go, sukinsyna mieć, ja muszę wiedzieć, który to!...

Przerwał, znów się zaciągnął papierosem.

— Rozumiesz... On, ten Grom, stosował takie jedno uderzenie, charakterystyczne... Miał taki swój cios.

To była jego specjalność. Znany był z tego. Ja chciałem go po tym uderzeniu... Ech, głupi człowiek!

Spojrzał na chłopaka, uśmiechnął się słabo i klepnął go po plecach:

— Ale inni jeszcze głupszy!...

— Jakbym wiedział, tobym nie przerwał — Józek podrapał się z zakłopotaniem po głowic. — Tobym sam doskoczył, żeby obywatela kapitana nie za bardzo, że tak powiem, nadwerężyli.

— Spokojna głowa — tak bardzo, to oni nie byli w stanie mnie...

nadwerężyć!...

Podniósł się z posadzki, spojrział w stronę celi.

— Albo się, skurczybyk, nie zdradził, albo... — Zaklął pod nosem i zgniótł w palcach papierosa.

Listwa minął targany porywami wiatru brzeźniak i ruszył przez rozmokłe pole w stronę majaczącej w ciemności chałupy.

— Kab ciebie chaliera!... — zaklął.

To pod adresem konia, którego ciągnął za uzdę. Brnął przez pole, zapadając się do kostek w

miękkim, rozlazłym gruncie. Koń powoli, z wysiłkiem człapał za nim. Deszcz padał już teraz coraz rzadszy, chmury tylko, ciężkie jak młyńskie kamienie, toczyły się po niebie, a między nimi, jakby chyłkiem, przeciskał się księżyc. Listwa zbliżył się do chałupy. W oknach było ciemno. Raz, drugi uderzył pięścią w drzwi. Po jakichś paru minutach usłyszał z wewnątrz chrapliwy, rozeźlony głos: — Ki czorta?... — To ja, Jeremiasz — powiedział Listwa. Po chwili, przez szpary w drzwiach, błysnęła naftowa lampa. — Jeremiasz? — zapytał głos. — To wy, kum?... — Ja! Ja!... — zadygotał z zimna Listwa. — Stanisław, otworzyłby ty, a nie człowieka w ciemnicy i na chłodzie trzymał! Kab ciebie chaliera wzięła — koń u mnie okulał!... — Coś jeszcze powiedz, bo głosu, jej Bohu, nijak rozpoznać nie mogę... Tego już było dla Listwy za wiele... — Kab ty schareł, kab ciebie wada pakaciła, kab ty udusiłsia! — wyrzucił z siebie jednym tchem.

— Ot i widzisz — powiedział Stanisław. — Tak i od razu trzeba było mówić! Otworzył z zasuw drzwi i wpuścił Listwę do sieni. Uniósł lampę do góry i oświetlił mokrą od potu i deszczu twarz. — I co, Jeremiaszu? — zapytał niepewnie gospodarz, patrząc Listwie w oczy. — Koń... dasz konia...

Ciężarówka wyładowana po brzegi jabłkami, z ukrytym wśród nich Wertepem, odjechała spod sklepu ojca Irki. Odprowadzała spojrzeniem to rozchybotane pudło, dopóki nie wessał je wylot uliczki wychodzącej na drogę.

Potem wróciła do domu i wtedy przypomniała sobie, że nie zgasiła w magazynie lampy. Za magazyn służyło podłużne i ciasne pomieszczenie, znajdujące się tuż obok sklepu. Na półkach, zbitych z nie heblowanych desek, stały rozmaite słoiki, worki z cukrem i kaszą, osełki do ostrzenia kos, butelki, radła pługów, słowem cały towar, jaki może mieć w swoim posiadaniu sklepik w małym miasteczku.

Osobne miejsce zostało wygospodarowane dla jabłek. Za ogrodzeniem z desek piętrzyły się całymi ster-tami.

Irka zgasiła lampę i już chciała zamknąć magazyn na kłódkę, kiedy w ciemnym przedsionku zobaczyła nagle dwóch mężczyzn. W ręku jednego z nich błysnęła latarka. Światło uderzyło ją w oczy.

— Chcielibyśmy ze dwie skrzynki piwka... hurtem! — usłyszała. — Kuzyn się żeni. obiecaliśmy załatwić. Mówimy: ..Zenek, nic się nie bój: co teraz w życiu stracisz, piwkiem zyskasz! My ci na początek dwie skrzyneczki..."

Mężczyzna zdjął na chwilę światło z twarzy Irki i przeniósł je pod stopy swego towarzysza.

— Powiedzieliśmy tak. szefie? — zapytał uśmiechając się.

— Słowo w słowo — odpowiedział tamten.

Miał sympatyczny, o matowym brzmieniu głos. Twarz pociągłą, ostrą i niemal dziewczęce rzęsy, które zdawały się przedłużać jego melancholijne, łagodne spojrzenie.

Światło znowu okleiło jej twarz. Zakryła dłonią oczy.

— Niech pan to zgasi! — krzyknęła. — Ojciec załatwia te sprawy i... proszę wyjść!

Ten z latarką chwycił dziewczynę raptem za ramię i wepchnął do magazynu.

Rzucił ją na stertę jabłek.

Uderzyła ciałem o deski. Jedna z nich odskoczyła i jabłka zaczęły się sypać na ziemię. Irka potknęła się o nie, upadła. Ten z latarką zaśmiał się, podniósł jedno, odgryzł kawałek...

— Więc mówię do kuzyna — ciągnął dalej spokojnie, obgryzając po kawałku jabłko: „Nie bój nic, znamy tu taką jedną. Ona jest równa. Milikierom, ubekom i innym — źle sie prowadząca ich mamusia daje, ale tak naprawdę to jest równa! Nic tylko dostaniesz swoje piwko, ale jeszcze najświeższymi plotecz-kami małżonkę uruczysz...”

— Tak powiedział — odezwał się „Melancholik”. — Słowo w słowo.

Irka ciągle leżała na wysypujących się z ogrodzenia jabłkach. Ten z latarką wodził teraz po ciele dziewczyny światłem. Wycinał ją tym światłem z mroku, skuloną, wsłuchaną w narastający trzepot serca.

Potem przeniósł snop światła na sterty jabłek, pociągnął nosem, jakby chciał upoić się ich zapachom, i zgrywając się wyszeptał:

—

Pachnie!... Jezu. jak pachnie!

W tej samej chwili Melancholik pochylił się nad Irką. Jego długie, dziewczęce niemal rzęsy zakratowały teraz oczy i na wąskich ustach pojawił się uśmiech, w którym było tyle samo ironii, co okrucieństwa.

— Umrzeć w zapachu jabłek! — powiedział i jego głos stał się jeszcze bardziej matowy, jeszcze bardziej sympatyczny. — Być pogrzebanym w zapachu jabłek!... Ładne, co? Pomyśl, że niektórzy daliby całą swoją wojenną sławę, żeby mieć taki właśnie koniec. Co im tam przemówienia, medale, kwiaty, wieńce, salwy nad grobem!... Czy nie lepiej zasnąć w silnym i jakby metalicznym zapachu jabłek? A nawet jak gnić, to razem z nimi. Woń zgniłych jabłek jest równie cudowna. Wiesz, był taki wielki poeta niemiecki, który nie mógł bez niej nic napisać. Pozostawił po sobie wspaniałe dzieła, wspaniałe, mówię ci... Na przykład „Zbój-cy”...

Jak gdyby chciał pogłaskać ją po włosach, łagodnie, pieszczotliwie... Ręka zastygła.

— Wyobraź sobie — mówił dalej — mój nauczyciel zmuszał mnie do pisania okolicznościowych wierszy. Zmarnowałem talent. Na tych okolicznościowych wierszach, oczywiście. Niestety!... Tak, tak, Niestety, panienko. I talent mi się zmarnował, i życie. I proszę sobie wyobrazić, co mi pozostało — słuchanie plotek!

Po prostu przepadam za plotkami!

Nagle jego zastygła w łagodnym uniesieniu ręka chwyciła ją za brodę. Potem palce ześliznęły się na szyję, zaczęły się wokół niej zwierzać...

— Ilu ich? — syknął. — Jaką drogą jadą?

Irka plunęła mu w twarz.

Zamierzył się drugą ręką. twarz mu się ściągnęła i... ręka zatrzymała się w połowie ruchu. Opanował się na siłę. To jego melancholijne spojrzenie znowu zawisło na dziewczęcych niemal rzęsach.

Wyciągnął z kieszeni parę skórkowych rękawiczek.

— Nie zastanawiałaś się, że to banalne — pluć w twarz?... Sztampa bohaterów, schemat, panienko. Na miły Bóg. bądźmy trochę oryginalni!...

Zaczął wolno naciągać na dłonie rękawiczki.

— Przytrzymać? spytał ten z latarką. Nie. Ona przecież będzie grzeczna.

Bardzo grzeczna. Irce jakby jeszcze raz zamajaczyła znienacka w wylocie uliczki ciężarówka.

Chciała krzyknąć: „Marian”, uniosła się nawet z jabłek...

W tym samym momencie zrobiło jej się ciemno w oczach.

Człowiek stojący na drodze w świetle reflektorów, z opuszczonymi już ramionami, ze wzrokiem tępo wbitym w rosnącą przed nim maskę ciężarówki...

To jest ten obraz: który sparaliżował Krawczuka, który kazał mu zahamować nagle bieg maszyny.

Nieznajomy opierał się już niemal o zderzaki.

Ciężarówka zatrzymała się. Krawczuk wcisnął głowę w skrzyżowane na kierownicy ramiona. Nie słyszał już teraz bębnienia z tyłu w okienko i krzyku Mariana. Trząśł się cały, dygotał, było mu wszystko jedno. Uważne, trzeźwe spojrzenie Kołdaka taksowało jego zachowanie i sytuację, w jakiej się raptem znaleźli, jak gdyby wszystko, co się stało, było przez niego od dawna przewidziane.

Marian, patrząc przez okienko na schowaną w ramiona głowę Krawczuka, wycodził:

— Ubiję drania!... Zgnije w pierdłu!

Wygrzebał spod jabłek pepeszę i rzucił ją Sarnickiemu. Z kieszeni zaczął wyszarpywać bęben do niej.

Sarnicki niezdarnie wmontował go w automat.

Marian stłukł kolbą pistoletu szybę w okienku, oddzielającym szoferkę od platformy.

— Krawczuk!... Och. ty!... — krzyknął. — Dureń, dureń ja! Trzeba było domyślić się od razu!...

Grzęznąć w jabłkach, rzucił się do rozsznurowywania plandeki. Gwałtownymi ruchami usiłował rozplą-

tać zapięcie. Spojrzał na Sarnickiego, który jak kawałek drąga ścisnął w rękach pepeszę.

— Miej ich na muszce! — krzyknął do lekarza.

Zabrał się znowu do sznurków. Robił to nerwowo, zamiast rozsupłać jeden z węzłów linki, zacisnął go jeszcze bardziej. Nagle usłyszał:

— Niech pan łapie!

Błysnęło coś w ciemnym powietrzu. Marian złapał to coś w locie: Sarnicki wygrzebał ze swojej torby skalpel i rzucił go w jego stronę: Zrobił to nieomal jak fachowiec od mokrej roboty, który podrzuca koledze nóż: trzonek znalazł się w dłoni milicjanta.

Ten rzut zastanowił przez sekundę Mariana.

— Więc ty... — zaczął.

— Niech pan się nie wygłupia! — uciał Sarnicki. — Niech pan robi swoje!

i skierował lufę pepeszy w otwór w rozbitym okienku.

Jednocześnie usłyszeli krzyk człowieka, który zagroził im drogę:

— Ludzie!... Ratujcie! Dziecko, dziecina... Całe czerwone... jak ogień!

Podwieźcie, ludzie, Strzekociany, tam doktor! Nie zostawiajcie ! Ludzie !...

Marian rozciął skalpelem plandekę.

Wyskoczył, wyczerpując z zanadru pistolet. Część jabłek posypała się za nim na błotnistą drogę.

Cela w strzekociańskim więzieniu. Ta sama, do której wszedł Jazgarz. Nie znaleziono dla nich „lepszej”. Podparto drzwi z drugiej strony drągami. A Józek podpierał teraz oczy zapalkami, czując jednocześnie, jak mu drętwieją ręce ścisnące pepeszę.

W celi jest ciemno. Kawałki stłuczonej żarówki poniewierają się jeszcze po podłodze. Zegar na ratuszu dawno już wybił północ.

Nie śpią. Wciśnięci pod ściany, myślą o każdym słowie Jazgarza.

„Wszystkich, wszystkich...” kołuje im w czaszkach jak wyrok, od którego nie może być odwołania.

Wejście Jazgarza, bójka... Ten człowiek gotów zrobić to, co zapowiedział. Wyczuli go tak. Iak teraz odczuwali jeszcze piekące miejsca po jego ciosach.

Ten człowiek wchodząc do celi był już wyrokiem. Uprzedził ich kombinacje, przejrzał ich... Oni nic byli w stanie go przejrzeć. Zobaczyli natomiast strach, namacalny strach, który zaczynał być pulsem otaczającego ich mroku. Krata w oknie zdawała się filtrować kawałek ciemnego, starganego chmurami nieba. Niekiedy wiatr wpadał do celi, przyciskał ich jeszcze bardziej do ścian i gubił się gdzieś w szparach podłogi. Usłyszeli na zewnątrz jakiś pojedynczy strzał, tupot nóg biegnących brukowaną ulicą, ostre nawoływanie... Normal-na nocna scena, którą mogli sobie teraz wyobrazić. Niejeden brał w takiej scenie udział, więc nie unieśli nawet głów, żeby z nasłuchu dowiedzieć się jej końca. Znowu cisza. Za godzinę, dwie usłyszą pewnie coś podobnego. Ten sam strzał, te same kroki na bruku i nawoływanie...

Hiszpan oderwał się od ściany. Po omacku zaczął badać rękami podłogę, znalazł peta, którego rzucił Jazgarz. Przytknął go do ust i gdzieś zza kołnierza wysupłał zapałkę. Zapłonęła potarta o podeszwę buta. W

tym krótkim świetle zdążył ujrzeć twarze tamtych. Spuścili z tonu, te twarze już „pielegnował” lęk. Jedynie Łysy... Twarz Łysego była spokojna, zimna, zimna jak mur, do którego przylegał.

Hiszpan puścił jeden, dwa, trzy dymy... papieros zaczął mu już parzyć palce. I naraz w porywie nagłej hysterii rzucił się do drzwi, zaczął w nie tłuc gwałtownie pięściami.

— Za co? Za co?... Dlaczego mam wisieć? Nie, nie, nie chcę! Za co się mścicie, sukinsyny?!... Nie jestem Grom! Chcę żyć! Żyć, żyć!...

Ze swojego kąta podniósł się Łysy. Podeszedł do Hiszpana cicho, wolno, krokiem, który można by nazwać „zaproszeniem do tańca”. Raptem sprężył

się, powietrze przecięły dwa krótkie uderzenia — Hiszpan zwałił się bez jęku na ziemię.

— Szmata! — powiedział Łysy patrząc na leżącego u jego stóp Hiszpana.

Tamci spod ściany zaczęli się podnosić, wyprostowywać i przyjmować nieomal postawę „na baczość”.

Jeden z nich obciągnął nawet na sobie luźno wi szącą ma ryna rękę...

— Ratujcie!... — krzyczał człowiek, który zatrzymał ich na drodze.

Chwycił się kurczowo zderzaka, jak gdyby jeszcze nie wierzył w to, że ciężarówka stanęła. Na jego ziemistej, poranej brudami twarzy malowała się twarda, chłopska zaciętość.

— Zobaczyłem: maszyna!... Podwiezie, myślę — zaczął się tłumaczyć. — Ono tam już ledwo, ledwo...

Całe w ogniu, ludzie!...

Marian stał o parę kroków od szoferki. Spojrzeniem ogarnął i chłopca, i resztę. Stał w cieniu, tak, żeby nie obejmowało go światło reflektorów.

Każdym swoim nerwem wyczuwał jednocześnie niebezpieczeństwo, które mógł skrywać las. Myśli, podejrzenia przelatywały mu błyskawicznie przez głowę. Ten pomysł

z człowiekiem stojącym nagle na drodze z rozkrzyżowanymi rękami, jakaś zmyślona bajeczka o chorym —

wszystko stare wypróbowane sposoby. Mogliby wykombinować już coś nowego, pomyślał złośliwie. Do tego las!... Zdawał sobie z wszystkich faktów sprawę, kotłowało mu się to w głowie i jednocześnie, jak nigdy zazwyczaj, nie mógł podjąć żadnej natychmiastowej decyzji. A przecież za chwilę wszystko może się rozstrzygnąć. Może ich jeszcze obserwują, może liczą się z tym, że co najmniej pluton siedzi na platformie, skryty pod plandeką. Są w końcu w cywilnych łachach, te

jabłka, które rozsypały się na drogę, też o czymś mówią...

Okonwoju wiedział tylko Listwa...

Nagle tuż przy nim z pepeszą w wyciągniętych rękach pojawił się Sarnicki.

Marian instynktownie

uskoczył w bok.

— Ja się z tym nawet nie bardzo umiem obchodzić

— powiedział Sarnicki i opuścił pepeszę, tak jakby to była laska do podpierania. — Niech pan da

spokój, panie poruczniku.

Podszedł bliżej do Mariana.

— Chciałbym się pomylić... — szepnął wskazując głową chłopca. — Ale z tego, co on mówi, to...

To chyba tyfus! Mówiłem, że zgłoszono się już do mnie i kiedy szedłem na posterunek, żeby zadzwonić...

— A jak to zasadzka? — Marian zbliżył swoją twarz do twarzy Sarnickiego. —

Pułapka?...

— A jak nie?

Marianowi nagle przypomniało się coś, wskoczył na stopień szoferki.

— Gaś te światła, baranie! — krzyknął do Krawczuka.

Z drogi zaczęły spęłzać smugi reflektorów. Stojący na stopniu szoferki poczuł, że ktoś go zaczyna szarpać za połą marynarki,

— Panie, to jak będzie? — chłop znowu targnął marynarką. —

Podwieziecie?... Doktora, doktora trzeba zaraz!

Marian uwolnił się od tego błagalnego szarpania i zeskoczył ze stopnia.

— Doktora, co? — przyparł chłopca do błotnika ciężarówki.

— Oj, panie, i to szybko, szybko!... — wystękał tamten.

— Szybko? — Marian podetknął mu pod brodę lufę pistoletu. — Szybko to ty mi tu zaraz wszystko

wyśpiewasz! Pseudonim, z jakiego oddziału, kto cię nasłał?

— Mnie, panie?!... W imię Ojca i Syna!

—

Gadaj!

— Ale gdzieżby ja... panowie?...

Z szoferki dobiegł ich rechotliwy głos Kołdaka:

— On tak samo poczciwy, jak i Listwa !...

Zaśmiał się szeroko i pociągnął nosem, jakby się chciał nasycić wilgotnym powietrzem lasu.

— A gorzałkę masz w domu? — zapytał chłopca.

— Wszystko dam, wszystko!...

— Zamknij się, Kołdak! — krzyknął Marian i do chłopca: — To mówisz, że dziecina chora, tak?...

Stanął między nimi Sarnicki.

— Ile dziecko ma lat? — spytał chłopca.

— To dziecina, panie... Pięć roczków mu idzie...

— Daleko to?

— Gdzie, panie, tu zaraz!... Podwieźcie, ludzie...

Sarnicki wskoczył na platformę. Odrzucił kosz, który skrywał twarz Wertepa.

Oświecił tę twarz latarką, kołatały się w niej jeszcze resztki życia. Sprawdził

puls. Potem z torby wyjął przygotowaną już do użycia strzykawkę. W

płomieniu zapałki opalił jej koniec. Zrobił zastrzyk. Powieki ранego drgnęły, potem znowu mocno

się zwały.

Sarnicki wyskoczył z ciężarówki.

— Prowadź— rozkazał chłopu.

Chłop spojrział na niego nieprzytomnie.

— Ale ja do miasteczka muszę, panie! — wymamrotał.

— Jestem lekarzem, prowadź!

Z otwartych drzwi szoferki wychylił się Kołdak. Zaczął się uważnie przyglądać chłopu. Tamten jakby poczuł na sobie jego wzrok. Zbliżył się do Kołdaka i zapytał szeptem:

— Prawda to? On doktor?...

Kołdak nic nie odpowiedział. Odwrócił się i zaczął spokojnie szykować sobie następnego skręta.

Sarnicki zarzucił na jedno ramię torbę, na drugie pepeszę.

— Idziemy! — rzucił i ruszył do przodu.

wtedy Marian zastąpił mu drogę.

— Sarnicki, pan zostanie tutaj!

Sarnickiemu z ramienia zsunęła się pepesza, zaryła w błoto.

— Niech pan strzela!... — krzyknął w zamazaną ciemnością twarz Mariana.

— No, dalej!...

— Sarnicki, ty mnie nie znasz! Ja takich jak ty... — zaciął się.

Opuściła go nagle pewność, czy postępuje słusznie. Przecież nikt z bandy nie mógł wiedzieć o wyjeź-

dzie „handlarzy jabłek” na targ do Strzekocian. Jeden Listwą!... Ale jakkolwiek zdarzało mu się, że najbar-dziej zaufani ludzie okazywali się zdrajcami, nie dopuszczał ciągle do siebie myśli, że Listwa mógłby po-stąpić w ten sposób.

— Na co pan czeka? — rozległ się spokojny głos doktora.

Sekunda, dwie, trzy... Ręka Mariana ściskająca pistolet opadła.

Sarnicki przeszedł kilka kroków. Za nim, niepewnie oglądając się za siebie, postępowa? chłop. Uszli kawałek. W pewnym momencie Sarnicki przystanął, odwrócił się i krzyknął do Mariana:

— Dla tamtego wszystko, co mogłem, już zrobiłem. Pośpieszcie się. bo on...

on może się pośpieszyć!

I skręcił za chłopem w las.

— Panie poruczniku...

Marian drgnął. Odskokzył w bok. ręka z wrośniętym w nią pistoletem uniosła się do strzału.

— Panie poruczniku... — powtórzył Kołdak.

Wylazł z szoferki, kołysał ręką pepeszę, jakby to był lekki, podróżny bagaż.

— Kto wam pozwolił wyjść?!... — krzyknął Marian. — Do szoferki!

Ich magazynki ciągle jeszcze były ukryte w jabłkach. Ich — Krawczuka i Kołdaka. Mieli w rękach broń rozładowaną, broń — straszaki.

Kołdak, człapiąc po błocie, wrócił na swoje dawne miejsce.

Między tafle chmur wcisnął się księżyc. Nagle blada poświata —jakby ktoś nieoczekiwanie schlapał

ich srebrną farbą— zwała się na nich.

Marian poszedł do szoferki. Naprawdę nie wiedział, co robić. Nie wiedział w tym momencie nic. Był

jak człowiek, który został nagle „wytracony z uderzenia” i rozgląda się za czymś jednym, uchwytnym, za czymś, co zdecyduje o dalszym działaniu. Po raz drugi już pistolet, który ściskał w dłoni, wydał mu się rzeczą jakby obcą, bezużyteczną...

...Lekarz. Tyfus. Prawdopodobnie. Obowiązek lekarski. Chłop. Człowiek.

Zwykły, proszący człowiek.

Nóż. Wertep. Na posterunku. Wywiad. Wtyczka. Musieli znać. Musieli wiedzieć. Wertep. Przypadkowa zasadzka. Wertep. Wpadł. I... I Listwa.

Zaufał. Kto wie, czy Listwa... Ten chłop. Sarnicki, Krawczuk, Kołdak.

Kołdak. „U Tatara”. Przeszedł. „Nawrócił się”. Przejrzał, zrozumiał...

Co w tym wszystkim ma być prawdą?

Jedno było pewne — szansa rozpoznania Groma zaczynała się oddalać z każdą minutą. Być może

nawet sekundy mogły zdecydować o powodzeniu całej akcji. A przecież Marian miał z Gromem porachunki także osobiste.

Porachunki to mało, podobnie jak słowo „krzywda” nie przystawało do niczego, co dotyczyło sprawy między nim a Gromem. Rozmyślał niekiedy o tym, że dla niektórych ludzi nawet śmierć nie jest dostateczną karą za czyny, które popełnili, że to ogromna niesprawiedliwość, iż za tyle zbi'odni najwyższym wymiarem słusznej kary może być tylko śmierć. Tylko ona...

— Ja tam się nie znam... — Jak zza paru ścian usłyszał nagle głos Kołdaka. —

Po mojemu to ich jest tu za mało, żeby doktora odbić. No, to próbowali —

sposobem! I udało się, nie ma co!... Dbają o swoich, nie można powiedzieć!

Marian ocknął się.

— Wymyśliłeś, niech cię... — zaklął.

Z szoferki wychylił się Krawczuk.

— Mnie się widzi, że on dobrze gada — powiedział.

— Po mojemu to też... jakby cwane!

Marian znów był sobą. Już pistolet, który trzymał w ręku. stał się tylko pistoletem, ludzie, z którymi miał wykonać to zadanie, tylko ludźmi.

— Niech sobie to gadanie schowa na potem — rzucił — jak skończymy z Wertepem! Oj, przyda mu się, jak cholera mu się przyda!

Magazynki od kabeku Krawczuka i pepeszy Kołdaka ciągle jeszcze tkwiły między jabłkami w wiado-mym tylko Marianowi miejscu.

Kołdak wychylił się z szoferki.

— Dobra. Wszystko jak należy — powiedział. — Tylko jak tamtemu dziecko umiera i całe w gorączce, to czemu od niego na kilometr samogonką ziało, co?...

— Że co?... — Marianowi zaparło oddech.

— A że ziało! Gorzelnię całą miał w mordzie, ja żem go poczuł z bliska. Co to, czy ja samogonki nie rozpoznam?...

Marian już był na platformie. Dopadł zagrzebanego wśród jabłek Wertepa.

Potrząsnął nieruchomym, skutym konaniem ciałem.

— Wertep! — krzyknął.

Odpowiedział mu cichy jęk.

— Wykończył go, sukinsyn!

i teraz posypało się na Sarnickiego...

— Wertep... — popatrzył w bladą, nieprzytomną twarz. — Wykończył go, sukinsyn i zwał! O żeż durny ja, durny!... Malarczuk!

Potrząsnął nim, Wertep na sekundę otworzył ciemne, porażone gorączką oczy.

— Dychasz?... — szepnął Marian.

Sam czuł już w sobie tę gorączkę, która rozsadzała go w momencie każdego niebezpieczeństwa. To był

poryw, uniesienie, o którym świadczył każdy nerw. każdy mięsień ciała i twarzy.

— Dychasz, dychasz, bracie — szepnął mimowolnie, trzymając mocno w ramionach Wertepa. — No, bracie, postaraj się... Chociaż na koniec zrób coś dla tej ziemi — nie zdychaj! Zdechniesz — ja w łeb sobie strzelę!... Nie, nie...

O żeż dureń ja, dureń!...

Rzucił się do okienka.

— Ruszaj! — krzyknął. — Wał na zgaszonych światłach! Idź dechy! Teraz jaznimi zatańczę!...

Nie usłyszał już zagłuszonego zapuszczonym motorem szeptu Kołodaka:

— Zatańczysz — do upadłego! Ot, bal!...

Ciężarówka drgnęła. Silnik zaskoczył i koła, buksując w rozmięklej drodze, wyrwały wreszcie wóz do przodu. Drzewa zaczęły zaraz przesuwać się do tyłu, ale jakby opieszale. Wydawało się, że las chce jeszcze potrzymać w kleszczach stare, wypełnione po brzegi pudło. Niekiedy o budę uderzały nisko zwieszające się gałęzie, które niczym rozcapierzone palce próbowały pochwycić pracy przed siebie wóz.

Marian przez rozbite okienko rzucił magazynek Kołodakowi. Sam zarepetował pepeszę, którą podniósł z błota. Tę pepeszę zrzucił z ramienia Sarnicki.

Porucznik stanął w otworze plandeki. Ciężarówka zaczynała nabierać coraz większej szybkości...

— Wal!... — krzyknął do szoferki.

I zaczęli... Kołodak z szoferki, Marian z platformy. „Rzygali” z pepesz w ciemną stronę lasu po obu stronach drogi.

Zdawało się, że las roztańczył się od tych salw, że ciemność, która w nim grasowała, stanęła w pełnej bieli, konwulsyjnej, strasznej bieli wyzwolonej ogniem ziejących luf. Z ciężkimi kroplami deszczu leciały na ziemię odłupywane strzałami od konarów gałązki. Leciała z pni kora, trzymające się jeszcze drzew liście, odrywane salwami, kołowały w podmuchach jak stada ciemnych ptaków.

Ciężarówką rzucało na wykrotach, sypały się z niej jabłka. Ciskało nimi na platformie, uderzały w nieruchomą twarz Wertepa.

Przy większym podrzucie wozu „wychlustywały się” przez burtę na zewnątrz, cała droga była nimi niemal wybrukowana jak kamieniami.

Las. Jeszcze ciągle był las.

Drzewa już zaczynały się przeredzać. Zakręt. Tuż zza zakrętu wyzierało puste pole. Odkryta przestrzeń wydawała im się zbawieniem. Dzieliło ich od niej kilometr, pół kilometra... Księżyc ogołacał tę przestrzeń z mroku mdłym, jesiennym światłem.

Coś strzeliło w silniku. Strzeliło raz, drugi...

— Chryste!... — wyszeptał Krawczuk wpity w kierownicę. — Jeszcze, jeszcze... Ty cholerne bydlę

jeszcze, jeszcze!...

Silnik zaczął chrypieć jak człowiek, któremu zaciśnięto na szyi ręce.

Krawczuk przerzucał gwałtownie biegi, oczami jakby przyciągał to odkryte, bezpieczne dla nich pole. Jeszcze jeden zryw silnika i mogli już je dopaść, pozostawiając za sobą las z czającym się w nim niebezpieczeństwem. Kołodak i Marian czuli, jak parzą ich dłonie od rozgrzanych luf automatów. Marian zdążył w swoim zmienić magazynek, kilka razy też wyszczerbiły czarny mur lasu wybuchy jego granatów. Raz nawet w zapamiętaniu sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągniętą z niej rzeczą cisnął w gęstwinię. Dopiero potem zorientował się, że to było... jabłko. W innej sytuacji roześmiałby się na cały głos.

— Wytrzymaj, jeszcze wytrzymaj! — krzyczał Krawczuk. — Na miazgę, na miazgę cię rozłukę, chole-ro!... Och, ty! Ty zarazo, ty!...

Noga kurczowo dociskała pedał gazu.

Ciężarówką trzęsło, rzucało, jak gdyby się wykrecała od ruszenia tych parę metrów dalej... Zaczęła wreszcie zwalniać, wyraźnie zwalniać...

Jeżewski sięgnął po słuchawkę. Cisza po drugiej stronie. Zakręcił gwałtownie korbą przy aparacie. Nic.

Rzucił słuchawkę na widełki.

— I gównu!... — przeszedł się parę razy po pokoju.

— Znów gównu! — powtórzył.

Ten wyraz nie leżał mu na ustach, więcej udawał, niż wierzył w spontaniczność swojego odruchu. Siedzący na ławce pod ścianą Siarka uśmiechnął się, widząc Jeżewskiego, który stan swojego zdenerwowania usiłuje nazwać, podbechtać „brzydkim wyrazem”.

Jeżewski zresztą nigdy nie czuł się mocny w tak zwanych wyrazach. Inni uważali, że to sposób. On uważał, że to metoda zastępująca... interpunkcję.

Narażał się też z tego powodu na liczne złośliwości, na które nie bardzo wiedział, jak reagować.

Kiedy tyle brzydoty na co dzień — myślał — papraniny w sprawach, które włosy ieża na głowie, to

niech chociaż ten język pozostanie odrobinę czystszy.

Lubił dużo czytać, ale niewiele pozostawało mu na to czasu. Mówiono o nim, że zna na pamięć całe rozdziały „Trylogii” i żartowano zaraz, że dobrze byłoby z takim siedzieć pod jedną celą — co wieczór od-cinek powieści, czysta rozrywka. Jeżewski swoje odsiedział przed wojną i być może, że wtedy te żartobliwe przypuszczenia były prawdą.

Wyjął papierosa, zaczął szukać po kieszeniach zapalek. Wrócił znowu za stół, na którym obok kilku papierów leżała pepesza Listwy. Miał ją na wyciągnięcie ręki. Podobnie jak kabek Siarki, który między telefo-nem a obtłuczonym kałamarnem tkwił po drugiej stronie stołu.

Został mu z tych podejrzanych tylko Siarka. Pilnował Siarki. Chłopak siedział spokojnie na taborecie w kącie i obgryzał przyciemnione brudem paznokcie.

— Masz ogień? — zapytał Jeżewski.

—

Co nie mam mieć — odpowiedział Siarka.

Wyciągnął zapalki.

— Rzuć!

Siarka chciał już rzucić zapalki, kiedy w drzwiach stanął listonosz. Był to starszy, siwiejący człowiek, na którym jakby wisiał przedwojenny jeszcze poczciarski uniform.

— Nieszczęście... — wykrztusił.

Zerwał z głowy czapkę i zaczął ocierać chusteczką czoło.

— Co jest? — Jeżewski poderwał się zza biurka.

— Panic władzo, panie władzo... — listonoszowi opadła ręka z przesiąkniętą potem i deszczem chustką.

— Tam pociąg, panie władzo...

— Co... pociąg?...

— Pociąg. Ten, co idzie z Zator na Strzekociany... Na przejeździe pod Podołami...

Przytknął chustkę do oczu, jakby miał się za chwilę rozpłakać.

— Mówcie! — krzyknął Jeżewski.

— Wyleciał z szyn — powiedział wreszcie listonosz.

— Na przejeździe...

— Gdzie — na przejeździe? — zaniepokoił się Jeżewski.

— Mówię przecież — pod Podołami! Całe szczęście, że towarowy.

Jeżewski znowu zaklął sztucznie.

— Oni muszą przez ten przejazd... — szepnął. — Chyba, że już przejechali...

Natychmiast się spostrzegł, że niechcący w uniesieniu wyjawiał trasę, którą obrała ciężarówka. Zauważył

jednocześnie, że ten jego szept doszedł do uszu Siarki. Spotkali się na moment oczami i Siarka znów wbił

spojrzenie w podłogę.

— Trzeba by jaką pomoc... czy jak? — odezwał się listonosz. — Po mojemu to pewnie szyna pękła. Stare szyny, jeszcze za batiuszki cara kładzione. A jak po nich teraz stale te transporty na front, to...

—
Leć! — krzyknął do niego Jeżewski. — Ja tego... tylko tutaj coś...

Siarka znów spojrzał na niego spode łba.

-- Załatwimy tylko coś tutaj i zaraz zorganizuje się ludzi i podwody!

—dokończył Jeżewski.

Maszynista podobnież nie żyje... — westchnął listonosz. — A pomocnika to tak paskudnie...

— Leć. Władek, leć — przeciął mu ten wywód Jeżewski.

Listonosz chciał jeszcze coś powiedzieć, ale machnął ręką i wybiegł.

Jeżewski obrócił w palcach papierosa, znów zaczął szukać po kieszeniach zapalek. Był wewnątrz rozedrgany. Wszystko się naraz na siebie nałożyło.

Ta

katastrofa, to spłoszone spojrzenie Siarki, kiedy sypnął

niechcący trasę ciężarówki... Czyżby Siarka? Przez głowę zaczęły mu przelatywać rozmaite kombinacje...

— Daj ognia, Siarka — powiedział, patrząc na niego uważnie.

Chłopak nie unosząc głowy potarł zapalną o pudełko. Jeżewski stał od niego o jakieś dwa kroki.

Siarka runął nagle na Jeżewskiego, uderzając go głową jak taranem między żebra. Jeżewski osunął się na podłogę. Spróbował się podnieść, Siarka przygwoździł go do ziemi kopniakami.

— Siarka!... Siarka!... — krzyczał kopiąc bez przerwy. — A o „Płomieniu”

słyszałeś? Słyszałeś pewnie, co?!... Masz teraz z Siarki — Płomień!... Myślałeś, durniu, że przyszedłem do was, bo tak mi serduszko dyktowało?!...

Przyszedłem, żeby was więcej, niż mogę kabkiem, wytłuc! Ty nie pamiętasz pewnie „Drza-zgi” z oddziału Tatara? Rozwaliliście go!... Ja jeszcze nie byłem w lesie... A wiesz, kim był Drzazga? Moim starszym bratem! Dobra, mówię, policzymy się. Skontaktowałem się z Gromem, otrzymałem rozkazy... Nie byłem spalony, mogłem do was iść „na ochotnika”, a że brat miał pseudo Drzazga, to o tym nawet najbliższa rodzina nie wiedziała. No i masz teraz, ty skur...

Rzucił się do stołu, chwycił za swój kabek.

Zarepetował, wymierzył go w Jeżewskiego.

i wtedy z powrotem wpadł do pokoju listonosz.

— Panie Jeżewski, chciałem jeszcze spytać... — zaczął.

Nie zauważył w pierwszej chwili, co się stało. Siarka- Płomień stracił kolbą lampę i strzelił w ciemność.

Potem przesadził okno i zniknął w wilgotnym, obmytym deszczem mroku.

Listonosz przypadł do Jeżewskiego: Panie Jeżewski!... Panie Jeżewski!...

Jeżewski powoli dźwignął się na kolana.

— Nic, nic, Władek... — powiedział, przewyciężając ból rozbitych ust. —

Chwilowo... chwilowo tylko wypadłem z szyn...

Siarka-Płomień biegł przez środek rynku.

Miasteczko było ciche, uśpione. Tylko w niektórych małych i zastawionych pelargoniami

okienkach —

chyba na odgłos strzału — światło zapalonych lamp zaczynało przebijać przez fi ranki.

Biegł wpadając w kałuże, przewrócił się, kubek wypadł mu z ręki.

Przed, sklepikiem zauważył motocykl .z przyczepą. Zerwał się, zaczął szukać w ciemności karabinu.

Znalazł, biegł znowu, kubek wleczony za pasek

wplątał mu się między nogi... Znowu upadł. Pot pokrywa-: niu twarz jak gorący okład...

W magazynie usłyszeli strzał.

Melancholik dopadł zabitego deskami okna. Zaczął nasłuchiwać ścigając z.

dłoni skórkowe rękawiczki. Irka leżała ciągle na rozsypanych jabłkach, jej policzki poznaczone były sinymi pręgami.

Ten z latarką znalazł na jednej z półek duży pilnik. Użył go teraz jako łomu, podważając jedną z desek w zabitym oknie.

— Strzał jakby stamtąd — nasłuchiwał

Melancholik. — Od strony posterunku... Płomień?

— Nie mógł wpaść tak głupio!... — rzucił ten z latarką.

Mocował się z podważoną deską. Melancholik przyklęknął nad Irką.

Schowała twarz w jabłka. Odwrócił ją siłą.

— No więc co, panienko? — uderzył ją rękawiczkami w policzek. — Przecież wszyscy, wszyscy, naj-mniejszy nawet pętaczyna mógł widzieć, jak wychodziłaś z posterunku, jak pomagałaś im ładować jabłuszka... Uwierz nam, my tu mamy swoich aniołów stróżów... Gdyby nam się udało zdążyć na czas, może sami byśmy się dowiedzieli, dokąd odjeżdżają te jabłuszka. Mało tego — wiedzieliśmy, po iakiej cenie póida iutro na targu. A tak wiemy tylko, że odjechały. To bardzo mało, panienko, bardzo mało. Mamy apetyt na te jabłuszka.

Ten z latarką wyłamał wreszcie jedną deskę. Otworzył się przed nim widok na rynek. W krótkim błysku księżycy zobaczył nadbiegającego Siarkę-

Płomienia. Nie zdołał jednak rozpoznać, że to on.

— Ktoś tu pruje!...

Melancholik dopadł szpary w deskach. Rzucił mu się w oczy najpierw mężczyzna biegnący przez środek rynku, potem kontur motocykla.

Rękawiczkami uderzył w twarz tego z latarką.

— Mówiłem, żeby schować motocykl za węglem! — krzyknął.

I wyszarpnął z zanadrza parabellum.

Księżyc znowu wczółgał się pod jakąś chmurę, ale w parę sekund później wyłonił się, bluznął sinym światłem... Sylwetka biegnącego stawała się coraz wyraźniejsza.

— To... to Płomień! — rozpoznał go ten z latarką.

Melancholik wyteżył wzrok, po chwili schował parabellum.

— Fakt: Płomień — powiedział i chwycił tamtego za ramię. — Masz szczęście, że to Płomień.

Odwrócił się do Irki.

— I ty też, panienko, ty też — wycedził z uśmiechem. — Szczęścia ci nie brakuje.

Jeżewski i listonosz wypadli z posterunku. Zaczęli biec po drewnianym trotuarze okalającym rynek.

Głuchy łomot ich kroków odbijała studnia rynku.

W okienkach szybko gasły lampy.

— Ledwo co mogłem dojrzeć!... — krzyczał za Jeżewskim listonosz. —

Pobiegł chyba tam, naprzeciw!

Tam, na wprost tego motocykla!

Zeskoczyli z trotuaru na piasek.

— Dobra. Władek — szepnął Jeżewski. — To by się sprawdzało z tym motocyklem. Ty, ty spróbuj się przedostać od tyłu na podwórze!...

Listonosz niezdarnie odciągnął zamek karabinu i wprowadził nabój do lufy.

Na skraju lasu Krawczuk grzebał pod otwartą maską ciężarówki. Po obu stronach drogi, na poboczu, leżeli Marian i Koldak. Ich palce miękko obejmowały spusty. Oczy wbiły się w nieruchome ściany lasu. Zaczynało już szarzeć, niskie mgły kłębiły się na jego skraju, potem rozpełzały się po całym polu. wsiąkały w ziemię. Wokół panowała cisza stopiona jak gdyby z tą mgłą i być może groźniejsza od niej. W każdej sekundzie spodziewali się ataku, dziwiło ich i niepokoilo, że oparów niby zasieków nie przekracza żadna ludzka sylwetka i że tej monotonii nie przerywa odgłos żadnego wystrzału. Wiatr jakby ustał i na niebie zaczęło się przejaśniać.

Marian odchylił się ze swojej pozycji, rzucił w kierunku Krawczuka:

— Benzyna?

— Jeszcze na dziesięć kilometrów jest — odpowiedział tamten nie wyjmując głowy spod maski. Szperał światłem latarki w silniku. — Akumulator, sukinsyn!... Boję się, żeby nie akumulował!...

Przez prześwit między podwoziem a ziemią Marian widzi Kołdaka.

— Ile jeszcze stąd do Strzekocian? — pyta.

— Będzie ze dwadzieścia.

— Ten Listwa, ten Listwa!... — Marian uderzył pięścią w mokrą trawę.

Usłyszał z drugiej strony drogi głos Kołdaka:

— Może już „świętej pamięci” Listwa!... Coś mi się widzi, panie poruczniku, że pewnie ja tego Jeremiasza pokrzywdziłem... Bo gdy tak wziąć na zdrowy rozum, to jakby on im o nas doniósł, z lasu byśmy nie wyjechali. Dajmy na to, że drzewo by w poprzek drogi zwałili, a ciężarówka nie koń, drzewa nie przeskoczy... Co zostaje? Zostaje, że albo on jeszcze nie dotarł do Strzekocian, albo go utłukli.

Po chwili dodał nieco złośliwie:

A doktor, ten ma głowę!... Od razu zrozumiał, że to nie żadna zasadzka i że trzeba iść. bo tę tam dziecięcą chorobą może ze wszystkim zeżreć.

Marian jakby tego nie słyszał.

— Przecież już powinni nam naprzeciw...

Krawczuk wydobył głowę spod maski.

— Trzeba popchnąć! — powiedział. — inaczej ta cholera nie zaskoczy!

Zatrzasnął maskę ciężarówki, otarł o spodnie czarne od smarów dłonie.

— Tak nie da rady! — Kołdak podniósł się z ziemi.

— Musimy te jabłka w diabły wygruzić!

Wertep ocknął się. Ma spieczone, popękane od gorączki usta. Powolnym, rozedrganym ruchem namacał

dłonią jakieś jabłko. Próbuje je ugryźć, jabłko wypada mu z ręki. Szarpnięcie, ktoś otworzył kłapę platformy.

Jabłka, wstrząsając ciałem Wertepa, zaczęły się sypać na drogę.

— Teraz! — krzyknął Marian.

Wparli się bokami w maszynę, pchnęli.

Silnik zaskowyczał...

— No i jeszcze raz!... — zduszonym przez wysiłek głosem zawołał Kołdak.

Motor zaskoczył.

Wciągnęli Siarkę do środka.

Osunął się zaraz na jakiś worek, z trudem łapał oddech. Ten z latarką oświetlił jego twarz przetrwoną zmęczeniem i potem. Melancholik jeszcze raz przez wyrwę w oknie zlustrował rynek.

— Więc jak? — rzucił w stronę Siarki.

— Na Rozpudy... — wymamrotał. — Na Rozpudy pojechali... Tądrogą...

Spróbował się zaśmiać.

— A tam... Tam na przejeździe — klops! Towarowy się wykoleił! Chwała Bozi! Aż się proszą, żeby ich... Przejazdu chyba nic minęli jeszcze, w bok nie skręca, bo tam wszędzie bagna... Tak, tak... ja sobie obliczam, że przejazdu nie mogli minąć. Można by ich jeszcze... A teraz— Wertep, sukinsyn! On nie przeżyje, przysięgam, ja dobrze mierzyłem...

Melancholik chwycił go raptem za włosy, odciągnął jego głowę do tyłu i patrząc w zdrętwiałą od strachu twarz tamtego, wysyczał niemal:

— Jeżeli przeżyje i wskaże Lucjana...

Siarka złapał obiema dłońmi jego rękę. zaczął ją całować.

— Nie, nie!... Zdechnie po drodze, przysięgam — bełkotał porażonymi ustami. — Chodźcie, po drodze posterunek!... Tam tylko jeszcze jedna Świnia została... Pamiętajcie go — Jeżewski! Przyjechał, skurwysyn, specjalnie z powiatu, kiedy nakryli Wertepa. Chodźcie, zdążymy i tego sku...

Tyle było nienawiści w jego młodej twarzy, że Melancholik mimowolnie się uśmiechnął.

Szczenie — pomyślał — szczenie... Taki to nawet rękę, która go karmi, będzie kąsał. Drzazga był taki sam, szkoda, że krótko żył. Byłby z nich tandem do wszystkiego, przed żadną robotą by się nie cofnęli.

Z zewnątrz padł strzał.

Siarka wyrzucił nagle do przodu ramiona. Zastygł na moment w tej pozie, potem objął własne piersi, tak jakby chciał kogoś do nich przycisnąć, i zwałił się na podłogę.

Wtedy padł drugi strzał.

Melancholik uskoczył pod ścianę przy oknie. W wyrwę między deskami oddał z parabellum kilka strzałów. Po drugiej stronie okna znalazł się ten z latarką, wydobył spod kurtki pistolet maszynowy, posłał długą serię w ciemność wyzierającą z otworu.

— Trzymaj ich! — krzyknął Melancholik. — Spróbuje dobiec do motocykla!... Mogą nam go, cholera, załatwić! Trzymaj ich, a jak usłyszysz, że motor zaskoczył, skacz pod bramę!

Rzucił się do drzwi.

Gdzieś z rogu podwórza błysnęły ku niemu dwa strzały. Przypadł do ziemi, strzelił w tamtym kierunku, poderwał się i rzucił w stronę rynku.

Ten z latarką nie zdejmował palca ze spustu. Długimi seriami walił w okno.

Nie słyszał dwóch strzałów od strony podwórka, które niecelnie do Melancholika oddał listonosz. Nie słyszał także, kiedy zaczął się oddalać warkot motoru... Spięty każdym nerwem z zachłystującym się ogniem pistoletem oprzytomniał dopiero wtedy, gdy wyczerpał cały magazynek.

Z podłogi zaczęła się dźwigać Irka. Spojrzał na nią przerażony, jakby ujrzał

widmo. W zaciśniętej dłoni trzymała porzuconą przez niego latarkę. Przez sekundę, zanim skierowała na niego snop światła, zobaczył

jej poznaczoną uderzeniami, niesamowitą w tym świetle twarz.

Wybiegł z krzykiem na podwórko.

Tym razem listonosz nie spudłował. Ciało wolno obróciło się wokół własnej osi i miękko upadło w kałużę. Rozcapierzone palce rozdrapywały błotnistą wodę, jakby to była ziemia.

Na biurku Jazgarza ciągle jeszcze paliła się lampa z obtłuczonym kloszem, chociaż przez rolety zaczynała się już przedzierać do wnętrza zapowiedź

świtu. Jazgarz przetarł oczy. Która to już noc z rzędu, kiedy dłonie kładły się ciężko na powiekach i siłą znów unosiły je na kilka mi nut do góry.

Naprzeciw Jazgarza siedział Mięta. Wybrylantynowaną czuprynę miał teraz w nieładzie, wzrok nieco przyćmiony.

Mięta nalał do szklanek brunatnego płyn«. Przez tych kilka godzin zdążyli już obciągnąć trzy czwarte litrowej bu

telki. Nadgryzione ogórki wały się na talerzu, okruchy chleba pokrywały jakąś odezwę. Nie pierwszy raz, kiedy nie można już było wytrzymać ogarniającej człowieka bezsilności, spędzili tak noc, gotowi jednak na każdy sygnał się poderwać, trzeźwieć w minutę i czepiając się choćby najwątleszego śladu dążyć błyskawicznie do celu. Potem dopiero następował sen, ciężki i dobry sen bez snów.

— Zdrowie, obywatelu... — - Mięta uniósł swoją szklankę do góry.

— Wszystkiego!... — Jazgarz wypił i skrzywił się, zapiekła go rozbita warga.

— No i opowiadaj, bracie, opowiadaj, jak ci się mości!... Jak tam dalej!...

Mięta ponownie rozlał do szklanek, poprawił się w krzesło i machinalnie obciągnął na sobie mundur.

Uśmiechnął się i jakby ożywił. W obie dłonie zgarnął rozlatującą się czuprynę.

— ...no to myśmy pojechali na zieloną trawkę — zaczął i już do końca opowieści nie schodził z jego twarzy uśmiech. — Lasek, strumyk obok, wszystko niczego — złego słowa nie powiem! Jachimiuk był, ten z kolei, jego Jadzia też... Harmonista także był, a i owszem, skrzypka też nie zabrakło...

No, trochę się po tańcowało, a ja patrzę, jak ta moja Zoli ja tak zerka na mnie i zerka... Co myśmy się wtedy znali — ze dwa tygodnie może! Wiedziałem, panna dobrze wychowana, po szkole... Śpiewa, głosik jak dzwonek i w ogóle!

I występowała! Tak jest, przed wojną w szkole, na wieczorkach! Nawet zdjęcia takie jej mam!... W kostiumie! Wygląda, że tylko ją na rękach nosić!

To zdjęcie z jakiegoś tam przedstawienia... Pokazać, obywatelu...

Jazgarz puszczał tę całą opowieść mimo uszu, wiedział, że tamtemu mówienie o swojej narzeczonej sprawia przyjemność, zwłaszcza gdy mógł się czymś nowym o niej pochwalić właśnie przed nim. Miłostki i romanse Mięty szczerze bawiły Jazgarza, ale też i łapał się niejednokrotnie na tym, że zazdrości chłopakowi tych przygód stwierdzając jednocześnie, że lata płyną, a on... Od rozwodu z żoną nie zainteresował się na długo żadną kobietą. Miało to tę dobrą stronę, że nie czuł się wobec nikogo winny, kiedy musiał albo chciał ryzykować własnym życiem.

— Pokazać, obywatelu... — usłyszał znowu wyczekujące pytanie Mięty.

— Pokaż, bracie, pokaż! — Jazgarz machnął ręką.

— Pokazuj wszystko!...

Wypił ze swojej szklanki. Parzący płyn rozpełzł mu się po wnętrzu i znowu przywołał przed jego oczy celę, tamtych pięciu i czającą się wśród nich zagadkę. Nie było wątpliwości, że pierwszą rundę przegrał, ale ile ich pozostało do rozegrania... Pozostawał jeszcze Wertep, szansa jedna na... Trup nie

wskaże Groma.

Chociaż... Przypomniał sobie wypadek, kiedy dokument znaleziony przy martwym ciele dopomógł w iden-tyfikacji osoby, która rzekomo dawno już nie żyła. Tak, ale tutaj takim „dokumentem” może być tylko słowo, słowo żywego Wertepa. Albo gest, ruch ręki, choćby miał to już być ostatni jej gest...

Mięta poszperał po kieszeniach i wyjął zniszczoną fotografię. Przedstawiała scenę z jakiegoś amatorskiego przedstawienia. Dziewczęta i młodzi ludzie w wieku osiemnastu, dwudziestu najwyżej lat stłoczeni byli na malutkiej scenie w symbolicznej, pełnej patosu sytuacji. Rozmaite, własnym przemysłem skomponowane kostiumy nadawały tej scenie wyraz tyleż naiwny, co oryginalny. Z boku grupy specjalnie

wysunięto do przodu jakby dwóch solistów. Usta otwarte w krzyku, ramiona w patetycznym, nieomal wieszczym geście. Jeden z nich o głowę wyższy od drugiego.

Mięta zaczął pokazywać palcem jakąś dziewczynę stojącą w drugim rzędzie.

— To ona! — mówił z czułością. — Najwięcej w tym przedstawieniu miała do mówienia, tak powiedziała! No i piosenki wszystkie też ona!...

Jazgarz wyjął mu z rąk fotografię, zmrużył oczy, jakby chciał się jej lepiej przyjrzeć i tym samym okazać Mięcie swoje zainteresowanie.

Nagle naprawdę zaczął się z natężeniem wpatrywać w fotografię. Przysunął

lampę, cała grupa na zdjęciu jak gdyby powiększyła się raptem, ożyła, a otwarte usta tych dwóch stojących z boku zdawały się przemawiać wprost do niego.

Tak, tych dwóch stojących z boku... Tych dwóch solistów... Jeden z nich jest podobny do Łysego, tylko trochę więcej włosów kłębi mu się na czaszce. Ten drugi, wyższy, twarz ma nieco zamazaną, z nakładającymi się na siebie rysami, jak gdyby przy wykonaniu fotografii niechcący się poruszył.

— Znasz go? — Jazgarz stuknął palcem w tego, który podobny był do Łysego.

Mięta zerknął na zdjęcie. Gruby palec Jazgarza podkreślał sylwetki obu solistów.

— Ci dwaj? — zapytał Mięta.

— Ten, ten... Ten niższy!

— Oni jednego chowu!... Bracia!

—

Co, bracia?!

— No bracia — Zofija opowiadała... Pierwsi do występowania na wieczorkach, a jeden z nich to nawet wiersze sam układał. Zofija ma w pamiętniku taki jeden... A tego od wierszy to Niemcy wywieźli — ani śladu po nim dotąd.

— Wywieźli? — Jazgarz niemal wrywał teraz z ust Mięty każde słowo. — Jak to, wywieźli? Kiedy, gdzie?...

— Wywieźli! — odpowiedział nic spiesząc się Mięta.

— Szkoda chłopaka! A we dwóch to oni podobno takie łobuzy byli. że hej! We dwóch nikogo się nie bali! Zofija opowiadała... Zwłaszcza ten niższy, o ten!

Mówili, że on taką książkę miał i stamtąd się wyuczył różnych takich sztuczek z biciem. I tego swojego brata też w tym poduczał.

Jazgarz poczuł, jak krew zaczyna mu galopować w skroniach.

— Tak, Zofija opowiadała... — ciągnął dalej spokojnie Mięta. — Oni mieli posłuch i w szkole, i na

po-tańcówkach, i gdzie się tylko ruszyli!... Ech, przydałyby się takie chłopaki, co. obywatelu kapitanie? Tak, a lego młodszego, o ten tu wyższy...

— Mięta stuknął palcem w zamazaną twarz — ...Niemcy wywieźli i pewnie już... Tak. A tego starszego ludzie widzieli w okolicy... Na psy zszedł, mówią...

Jazgarz zamyślił się na moment:

Czyżbym się znowu miał pomylić? Nie, to niemożliwe... Miałażby to być druga i ostatnia zarazem run-da? Przecież tylko przypadek podsunął mi do ręki tę fotografię. Śmieszne, gdyby Mięta nic rozkochał się w

„Zofiji- artystce”, tylko w jakiejś innej Jadziuni... Pomaga mi chłopak, jak może, oby tylko teraz naprawdę pomógł.

Bezwiednie obrócił w rękach fotografię. Wpadł mu w oczy napis niebieskim atramentem na drugiej stronie zdjęcia: Spokojnie stoi nasz rodzinny dom, Bo my czuwamy — jako w niebie Grom!

— To wierszyk z tego przedstawienia — powiedział Mięta. — Zofija opowiadała... Oni tam w różne pieśni, w wieszczów różnych wplatali takie tam swoje... Zgrabne, co, obywatelu kapitanie?

I z uśmiechem odczytał wypisany niebieskim atramentem dwuwiersz.

Jazgarz zerwał się z miejsca.

Chłop stał przy łóżku z żarzącą się karbidówką w ręku. Wśród pierzyn majaczyła główka dziecka. Sarnicki jeszcze raz spojrział na jego rozpaloną twarzyczkę.

— Przyślę — szepnął odchodząc od łóżka. — Bądźcie spokojni, przyślę po niego...

Już przy drzwiach poczuł nagły zawrót głowy. Zachwiał się, wypuścił z rąk torbę.

— Panie doktorze!... Jezusie, Mario — doskoczył do niego chłop.

— Nic, nic...

Sarnicki usiłował się schylić, podnieść z podłogi torbę. Nie utrzymał równowagi, upadł. Ostatkiem woli dźwignął się, stanął na chwiejnych nogach.

— Nic, nic... — powtórzył. — Wody... Pić mi się chce, pić...

— Pan doktor zmęczony...

Chłop usadził go na brzegu taboretu, plecami opai*ł o ścianę.

— A może samogonki? — zakręcił się

koło baniek na piecu. — Mam, własnej roboty! Od razu na nogi postawi!

Przednia, pan doktor skosztuje!

Sarnickiemu gorączka wżarła się już w oczy, wysuszyła usta.

— Ja... — zaczął, ciężko chwyając oddech. — Ja z nimi muszę... Do Strzekocian... Prowadź... Prowadź z powrotem!

Chłop, stropiony, obracał w dłoniach blaszany kubek.

— Oni... Oni już dawno w Strzekocianach — powiedział. — Maszyną to raz dwa i na miejscu!... Śnia-danie już pewnie jedzą, drugą porcję zamówili...

Znowu zadzwonił bańkami.

— Ja panu doktorowi dam samogonki i przejdzie, jakby ręką odjął!

— Co... co tak pachnie? — wyszeptał Sarnicki.

Dopiero teraz wyczuł jakiś zapach, silny, intensywny... Twarz Sarnickiego jakby odtajała na moment ze skuwającej ją gorączki.

— To? A to jabłka! — odpowiedział chłop. — Widział pan doktor ten sadek za obórką?... Obrodziło.

Tylko gdzie je wieźć, jak je sprzedać! Sam wozu nie pociągnę. Trzymam je tu obok... Może pan doktor zajechać, brać, ile chce!

Zaczynało już wyraźnie świtać. Wiatr jak gdyby przywarł do ziemi, zaplątał się w trawach i ucichł.

Ziemia obsychała. Jedyne gdzieś w gąszczach listowia skrzyły się jeszcze krople niedawnej ulewy, przyczały się tam jak spłoszone ptaki.

Z okna budki dróżnika widać kawałek toru, a dalej stertę spiętrzonych wagonów i drogę, która urywa się przy na wpół zamkniętym szlabanie.

Na drodze pojawiła się ciężarówka. Kolebała się na obie strony, motor rzeził na ostatnich obrotach. Kierowca starał się wymijać błotniste koleiny w obawie, że koła zabuksują wtedy już żadna siła nie popchnie wozu do przodu. Przez pękniętą szybę szoferki widać było jego ziemistą twarz, kosmyki włosów przylepiono-no do czoła, chwytające krótki oddech rozchylone usta...

Melancholik odszedł od okna i zbliżył się do stojącego twarzą do ściany dróżnika. Lufą parabellum zmierzwił mu włosy na karku.

— Wiesz, co masz powiedzieć?... — zapytał dróżnika.

Dróżnik nie odezwał się i nie poruszył.

— I powiedz to, na litość boską, człowieku! — kończył z uśmiechem Melancholik. — Ja tak nie lubię mieć z ludźmi kłopotów!

Stojący w progu niski, o szczurzej gębie facet zarechotał, potem lufą pistoletu maszynowego uchylił

niewielko drzwi i spojrzał na drogę.

Ciężarówka zbliżała się już do szlabanu.

Strażnik drzemał owinięty w koc. Tylko Józek z bosymi nogami w misce zimnej wody, z pepeszą wymierzoną w zdewastowane strzałami drzwi, czuwał cały czas i — jak gdyby chcąc mieć jeszcze jedno zabezpieczenie przed zaśnięciem — nucił pod nosem jakiś refren dawno zapomnianego szlagieru.

Nagle usłyszał kroki na korytarzu. Poderwał się, trochę wody wylało się z miski...

Fruwając połamami rozpiętego szynela, prawie biegiem, korytarzem nadchodził

Jazgarz.

— Dawaj tego Łysego! — krzyknął z daleka.

Strażnik ocknął się z drzemki, koc spadł mu z ramion, rzucił się do drzwi celi.

Wydobył z niej po chwili Łysego, który również wyrwany ze snu i jakby otumaniony światłem, leniwymi ruchem przeciągnął się i ziewnął. W

moment potem już zorientował się, że ma przed sobą Jazgarza.

— Panie naczelniku najdroższy — zaczął starą śpiewkę — niech pan spyta aptekarza w Rozpudach, jaki mu dzienny utarg we wrześniu... Panie naczelniku umiłowany, przecież pan ma wprawne oko... Pan od razu wie, kto jest kim.

Kiedy pan tu wszedł poprzednim razem do celi, to ja na pana ręki nie podniosłem... Uszłaby mi najpierw, panie naczelniku... Niech mnie moje dzieci do końca życia przeklinają, jeśli bym ja miał...

— Komediant, psia jego...

Jazgarz chwycił go za bary i niczym manekina ustawił na środku korytarza, tam gdzie było najwięcej światła. Nagle spostrzegł koc, który spadł z ramion strażnika, kiedy Jazgarz wchodził. Porwał go, o wystającą z drzwi blachę rozdrał pośrodku. I błyskawicznie ten koc niby komżę zarzucił Łysemu na ramiona.

Łysy stał teraz przed nim w kocu, przypominającym ów własnym przemysłem robiony kostium, w jakim go Jazgarz ujrzał na fotografii. Tam też wisiało na nim coś szarego, coś, co sprawiało wrażenie jakiejś rytualnej szaty, habitu...

— Panie naczelniku umiłow... —wymamrotał Łysy.

Ale Jazgarz już stał przy nim w odpowiedniej pozie

— takiej jak ten wyższy na fotografii — i siłą wyciągnął Łysemu ręce do góry w patetycznym, teatralnym geście.

—Spokojnie stoi nasz rodzinny dom, bo my czuwamy jako w niebie Grom!

—wyrecytował, a potem krzyknął w twarz tamtemu: — Jak jest dalej, bandyto, jak dalej!... No. recytujmy, recytujmy wspólnie!

Horyzont już wyraźnie błękitniał.

Rozmięktą drogą posuwali się wolno na rowerach Jeżewski i Irka. Byli wyczerpani, nogi z trudem opierały się na pedałach, ręce musiały bez przerwy manewrować kierownicą, aby utrzymać w równowadze koła, które ślizgały się w błotnistej mazi.

W pewnym momencie Irka zachwiała się, koła za buksowały w błocie...

Upadła. Jeżewski zeskoczył z siodełka, pomógł jej podnieść się.

Rzuciła się czym prędzej do swojego roweru.

— Zdamy? — naciskała już na pedały. — Niech pan powie, zdamy?...

— „Podchorąży zawsze zdąży” — spróbował zażartować Jeżewski.

Nawet cień uśmiechu nie rozjaśnił jej twarzy.

Jeżewski ruszył szybko za nią. Jego spojrzenie sunęło teraz po drodze, którą wyłobiły odciski opon samochodowych...

Obok — jak równy, drobny ścieg, biegnący skrajem drogi —widoczny był ślad motocykla.

Marian. Krawczuk i Kołdak leżeli ze skrępowanymi do tyłu rękami, twarzami do ziemi. Przy nich, z oczyma wlepionymi w sufit, dogorywał Wertep.

Bandaż na piersi przesiąkły i czerwone plamy ułożyły się na niej w dziwny, niesamowity wzór.

Oprócz Melancholika w budce znajdowało się teraz jeszcze trzech jego ludzi.

Lufy pistoletów maszynowych wymierzyli w karki rozciągniętych na podłodze. Zawieszane przez ramię pistolety utrzymywała w tej pozycji jedna ręka, w drugiej każdy z nich miał jabłko, gryzł je ze smakiem, ciskał

ogryzkiem w

powa-lonych na podłogę, wyjmował nowe...

Przy drzwiach leżał dróżnik, już martwy.

Melancholik klęknął przy Wertepie. Rękawiczkami trzepnął go najpierw lekko po twarzy, potem silniej

— po zaciśniętych powiekach.

— Znasz takie przysłowie, Wertep — zapytał i jego dziewczęce rzęsy znowu jak gdyby zakratowały oczy:

— „Niedaleko pada jabłko od jabłoni”?...

Gryzący jabłka zaśmiali się. któryś z nich wyjął następne z kieszeni i z chrzęstem wbił w nie zęby.

— Żałuję, że wcześniej nie przypomniałem sobie o tym przysłowiu — ciągnął dalej Melancholik. —

Żałuję, że wcześniej nie wpadłem na to, iż twój tatuś, ten powiatowy demokrata, jakąś cząstką, cząsteczką swoich „idei” zaraził i ciebie. A może to dziedziczne, wysrane z krwią matki?...

Jego ludzie znów wybuchnęli śmiechem.

Melancholik jak gdyby się zamyślił.

— Z twoim ojcem można było żyć... Wprawdzie ganiał mnie za matematykę, ale... kochał wieszczów, umiał na pamięć dwunastą księgę „Pana Tadeusza”...

Pamiętam, wzruszały go moje pierwsze wiersze... Tak, gdyby tylko nie ta pepęsiacka natura... Szkoda.

Wertep otworzył z trudem oczy, jego zamglone spojrzenie zaczęło błędzić po twarzy Melancholika.

Poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć. Nie mógł wydobyć z siebie słowa, powieki znowu się zwały na oczach.

— Widzisz, nawet nie wiem, czy cię dobije — powiedział Melancholik. — To paskudna robota... Więc chyba zostawię cię tutaj samego... Po prostu zostawię. A tych tutaj podgotuję, żeby... zrównali się z tobą.

Marian rzucił się na podłódze, szarpnął rękami:

— Ciebie, ciebie się z ziemią zrówna... I to będzie twój pomniczek, ty... ty „poeto”.

Jeden z ludzi Melancholika przygniótł go butem do podłogi.

Kołodak wykręcił twarz do Mariana:

— On sam o sobie pieśni układał... Puszczal w obieg, że to niby tak naród sam... Naród o nim...

Zatrząsł się od śmiechu. Jego ciało trzepotało teraz na brudnych deskach podłogi jak wyrzucona na piach ryba.

— A ty... — krzyknął Melancholik — ty już zdążyłeś puścić w obieg pieniądze, któreś, złodzieju, ukradł oddziałowi Tatarów?

— Łiesz. Sam Tatar przepuścił albo gdzieś zamelinował.

I nagle ciałem Kołodaka znów poruszył śmiech.

— Wiersze, wiersze o sobie składał. Rozsyłał po oddziałach... Słuchajcie, pamiętam jeden taki: On czuwa i honor z nim czuwa po nocy. Aż słońce wolności zagładnie im w oczy.

— Zagładała, zagładała mu nad ranem w oczy, ale dziwka... prostytutka.

Taka, co jeszcze z Niemcami się puszczała.

Teraz śmiali się już wszyscy trzej. Ich ciała dygotały, zaczęli się nieomal od tego śmiechu, który z sekundy na sekundę narastał, tarzać po podłódze.

Krawczuk nawet z zapamiętaniem bił czołem o podłogę.

Opadali już z sił, już prawie sztucznie podtrzymywali w sobie ten śmiech, który zdawał im się być ocaleniem... Ocaleniem przed śmiercią?... Nic, ocaleniem przed tymi paroma trudnymi i rozpaczliwymi minuta-mi, które będą ich dzielić od ostatniej kuli.

— Tak podgotuję was, podgotuję, żebyście się zrównali z tą szmatą — nakrył głosem ich śmiech Melancholii: i kopnął Wertepa. — I odejdę. Widzicie, świta. Daję wam szansę umrzeć w słońcu.

Zerknął na podłogę zasłaną ogryzkami jabłek.

— W słońcu pośród ogryzków — dorzucił z uśmiechem.

Wertep znowu uniósł powieki. Jakby na siłę usiłował wyzwolić z oczu trzeźwe, widzące spojrzenie.

Spróbował poruszyć ręką...

Melancholik odwrócił na bok Mariana:

— No cóż, mnie oko nie myli. Sierżant, chorąży, porucznik?... — pytał, dotykając jednocześnie palcem jego ramienia tak, jakby liczył na nim gwiazdki.

— Polak mały — odpowiedział Marian.

— Przekonaj go, że się o tym myli — Melancholik zwrócił się do jednego ze swoich ludzi.

Ten, do którego to powiedział, podszedł do Mariana i uderzył go kolbą automatu w nerki. Potem

drugie uderzenie. Marian do krwi zagryzł wargi, zamiast jęku wydobyło się z ust jakby ciche, stłamszone westchnienie.

Melancholik niedbale bawił się swoim parabellum. Patrzył, jak jego człowiek katuje Mariana. Tamten robił to metodycznie, trafiał coraz lepiej. Wreszcie usłyszał jęk. Melancholik, jakby kwitując finał jakiejś znakomitej sceny, włożył parabellum do kieszeni spodni i obiema dłońmi zaczął bić brawo.

I wtedy Wertep, leżący za jego plecami, dźwignął się ze skowytem z podłogi.

Jest to ostatek siły, ostatek życia, które jeszcze się w nim tli... Wyszarpnął

Melancholikowi z kieszeni parabellum.

Strzelił.

Tamtego strzał pociągnął jakby ku górze, tak wyprostowany trwał przez sekundę i — niemal tanecznie

— upadł...

Wertepowi wysunął się z rąk pistolet. Zanim znieruchomiał, wyrzucił z siebie:

— Gro...m.

Jednocześnie, w tej samej sekundzie, Marian zerwał się na nogi. Ludzi Melancholika to wszystko, co się stało, zatrzymało na mement w miejscu.

Marian, mając ręce ciągle jeszcze skrępowane, uderzył głową w brzuch najbliższego z brzegu. Tamten osunął się na ziemię. Marian błyskawicznie kopnął następnego w za-ciśnięte na automacie ręce.

Poderwał się Krawczuk i Kołdak...

Ten pierwszy już zdążył oprzytomnieć.

Marian dostaje serię w brzuch... Cały wysiłek jego ramion dąży ku ściśnięciu, stłamszeniu tego bólu, który go raptem poraził. I nagle skrępowane, wykręcone do tyłu ręce rozluźniają się... Ma wolne ręce... Może je już tylko wpleść w ból i krew roznoszące środek jego ciała.

Jednocześnie na zewnątrz rozszumiało się od salw...

Listwa stał we wnętrzu wywróconego wagonu. Z wagonu jak bebechy wydobywały się sterty cynkowych blach. Siekł w te blachy z pistoletu i krzyczał:

— Rzucić broń, swołocze! Wy zewsząd otoczeni! Żaden żyw nie zostanie...

Kab... was cholera... wychodzić, gady wy jedne... Wychodzić, bo... Plutonowy Saweluk, okrążaj, okrążaj... Ognia!

Strzały i głos. To uderzało o blachy, które wydobywały z siebie zwielokrotniony dźwięk.

Listwa strzelił jeszcze dwa razy. Zobaczył, jak dwóch z obstawy Melancholika, zaczajonych przy ciężarówce, zaczyna się wycofywać w stronę zagajnika za torami.

— No, tak i dobrze, że ja tych swołoczy w czas dostrzegł — mruknął i otarł pot z czoła. — A i dobrze, że dał ja im radę.

Wyskoczył z wagonu., pobiegł w kierunku budki dróżnika.

— Kaźmierz... Kaźmierz... — Kołdak szedł na jednego z ludzi Groma. Szedł prosto na lufę, którą tamten z nagłym prze- rażeniem w oczach wymierzył ku niemu.

Za oknami rozlegały się jeszcze wystrzały i „metaliczny” głos Listwy.

— Pamiętasz mnie, Kaźmierz? — Kołdak patrzył tamtemu z napięciem w oczy. — Dostaniesz dziesięć, piętnaście lat, ale wyjdiesz... Żyć będziesz jak człowiek. Ciśnij tę gangrenę, Kaźmierz... Słyszałeś, otoczyli was...

Rzucił okiem na Wertepa i Groma. Oba ciała skrzyżowały się, jakby dwie zbite krwią kłody.

Kaźmierz upuścił automat na podłogę. Reszta po chwili zrobiła to samo.

Kołodak wychylił się przez okno. Jeszcze „grał”, jeszcze miał skrępowane ręce.

Jeszcze nie mógł ich na żadnym z tych pistoletów zacisnąć.

— Dobrze, podchodźcie... — krzyknął na zewnątrz, a potem zwrócił się do Kaźmierza. — No, rozwiąż mnie, rozwiąż... Jak świniaka mnie spętałeś.

Usłyszeli głos Listwy:

— Ot, ile jabłek zmarnowali. W błoto wszystko poszło. Jakby to oni nie wiedzieli, że zbierać ich trzeba, pnie bielić, doglądać... Ot, swołocze. Tak i kary na takich nie ma.

Wszedł do budki. Pierwsze rzuciły mu się w oczy twarze Kołodaka i Krawczuka.

— Koń u mnie okulał — powiedział. — No i chwała koniu! Gdyby nie okulał, to ja by was wyprze-dził!... A tak przydał się ja na coś, a?...

I dopiero teraz dostrzegł na ich twarzach coś co kazało mu przenieść spojrzenie na podłogę. Wolno ściągnął z głowy czapkę i przyklęknął przy Marianie. Chciał zakreślić w powietrzu znak krzyża...

Ręka zastygła w pół

ruchu.

— Pan... pan komendant... — wyszeptał.

I nagle zerwał się. Olbrzymia pięść rozdarła powietrze i spadła na jednego z ludzi Groma.

— Szeregowy Listwa! — krzyknął Kołodak.

Listwa całe swoje długie ciało zatrzymał w rozpędzie. Krawczuk oderwał się od okna.

— Ty... ja nie mogę... — wyszeptał do Kołodaka. — Ja... ja nie chcę na to patrzeć... Nie mam siły!

Ona...

Nie mam siły na to!

I wybiegł, uderzając całym ciałem o drzwi.

Kołodak spojrział przez okno. Zobaczył drogę upstrzoną plamami rozsypanych jabłek. Zobaczył Irkę, która szła pierwsza, pchając przed sobą rower.

Jeżewski dostrzegł za węglem budki motocykl Groma. Krzyknął

coś do Irki i uskoczył w bok.

Irka, jak w transie, szła dalej.

Kołodak przyklęknął obok Listwy przy ciele Mariana. Zamknął mu dłonią powieki.

KONIEC